M. B. im. L. W. w Łodzi

W numerze: ZOFIA TARNOWSKA *Projekty a życie* • ŁUCJUSZ WŁODKOWSKI *Pasaż w środku miasta* • KAROL BADZIAK *Piskorz w kajdankach* • ZYGMUNT FIJAS *Gdy baronetowi palić się chce* • *Felietony* • *Recenzje* • *Nowela kryminalna*

odgłosy

9. VIII. 1970 r.
32 (664)
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

BOGUMIŁ LEJKOWSKI

Medytacje zgniecionego pasażera

Przyroda dała nam lato krótkie, a w dodatku często zimne i mokre. Mimo to uparliśmy się wszyscy przy zasadzie, że tylko te dwa i pół miesiąca liczą się jako czas prawdziwego odpoczynku. Więc gdzieś w połowie czerwca zaczynają się wędrówki ludu polskiego z południa na północ, ze wschodu na zachód, z Polski centralnej we wszystkich kierunkach, na kolonie, wczasy, obozy, wycieczki, leczenia sanatoryjne, urlopy rodzinne i indywidualne. Wszystkich wyjeżdżających trapi jeden problem — jaka będzie podróż, czy uda się w ogóle wepchnąć do pociągu?

Każdy z nas tego lata albo już podróżował i ma to „z głowy", albo — jeszcze przed sobą. Więc porozważajmy trochę o wakacyjnych podróżach.

W ŚRODKU NAJTRUDNIEJ

Centralne położenie Łodzi ma podobno swoje zalety, ale na pewno nie dotyczą one kolejowej komunikacji. Nad morze, w góry, czy na mazurskie jeziora wcale nie jest z Łodzi tak daleko, oczywiście, jeśli tę odległość mierzyć na mapie. Co innego, jeśli chce się tam dojechać pociągiem. Od lat Łódź dopomina się o bezpośrednie pociągi do popularnych miej-

Dalszy ciąg na str. 2

JAN BĄBIŃSKI

A MOŻE BY DO SULEJOWA?

Mało jest na europejskim kontynencie krajów tak w wodę ubogich jak Polska. A już szczególnie dotknięta przez los jest Łódź rozłożona pośrodku wododziału Wisły i Odry. Im dalej od tego miasta tym wody więcej, chociaż w pobliżu bierze swój początek nie tylko osławiona Łódka, ale też Ner, Olechówka, Jasień a nawet Bzura. Cóż, Staszic w swych rachubach zbytnio się nie pomylił. Na mały przemysł wody istotnie było w nadmiarze. Na wielki przemysł raptem jej zabrakło. Jakby kto nożem uciął. Miasto walczy o wodę od lat. Bój to niemal heroiczny. Studni kilkusetmetrowej głębokości przebito już z pół setki. Doszły jeszcze studnie publiczne i uliczne hydranty. Doszły zdroje i własne, fabryczne już ujęcia.

I co? Wody brak i tyle. Wodociąg Pilica — Łódź przekazany uroczyście już w 1953 roku trochę sytuację poratował. W międzyczasie wyskoczyły nowe dziury w wodnym bilansie miasta i to jeszcze większe niż kiedykolwiek przedtem. Wciąż jeszcze 131.000 łodzian bierze wodę ze studni, hydrantów ulicznych, lub ustawia się po nią w jednym z 270 punktów do których dojeżdżają beczkowozy. Jest źle. Beczkowóz jest czymś szokującym, co do tego wątpliwości być nie może, choćby dla tej hańby na obliczu miasta znaleźć tysiąc usprawiedliwień. Ale nawet ci łodzianie, którzy cieszą się kranem w mieszkaniu, zużywają rocznie 36.000 m sześć. wody, dwa razy mniej niż chociażby warszawiacy. Skąd brać wodę skoro miastu przybywa rocznie 25.000 izb z pełnym komfortem i przybywają giganty przemysłowe w rodzaju „Olimpi II" czy „Gumówki", które też bez wody nie wyżyją.

Inżynier Zbigniew Dembiński, który jest szafarzem wody na całe miasto ujął ołówek i dokonał bły skawicznego wyliczenia.

— Gdyby przez Łódź przepływała jedna rzeczka 2-metrowej głębokości, 4-metrowej szerokości, z szybkością jednego metra na sekundę, to mielibyśmy wodny problem „z głowy..."

Gdyby... próżne marzenia, nikt jeszcze wartkiej rzeczki nie wyczarował czarodziejską różdżką. Więc co? Ano nic, trzeba jeszcze raz udać się do Pilicy. Sama rzeka Łodzi też już nie nasyci. Potrzebne jest rozległe jezioro, z którego woda mogłaby popłynąć szerokim kanałem i rozlać się przewodami po całej już Łodzi. Albo, albo, półśrodki już niczego nie załatwią. Albo jest egzystencja dla 800-tysięcznego miasta, albo jej nie ma. Jak już ugryźć ten piekielny problem to z rozmachem.

Geograf na całą tę kwestię spogląda nieco innym okiem.

Mgr. Bolesław Krzemień to ekspert od przestrzennego planowania i przyszłościowych koncepcji. Kręci się po powiatach od lat, obłożony mapami, wykresami, planszami, siedzi świątki i piątki w Wojewódzkiej Pracowni Urbanistycznej i coś tam oblicza, bada i sonduje. Jest świetnie. Sulejowskie jezioro to coś o czym przed kilkunastu laty nikt nawet myśleć się nie ważył. Ziemia łódzka jest uboga. Mało ma wody i tylko 17 proc. jej powierzchni pokrywają lasy. Całe prawie województwo to monotonna równina, wyjątkowo pod względem krajobrazowym nieciekawa. Sulejowskie jezioro załatwi dwa od razu problemy. Napoi spragnioną Łódź, prócz tego stworzy największy i najatrakcyjniejszy ośrodek rekreacyjno-wypoczynkowy.

Istotnie pod Sulejowem kroi się jedyna w swoim rodzaju szansa na łódzki Balaton.

Ale przyszła zaduma i przyszły refleksje, których w miarę prowadzanych rozmów wciąż przybywało. Czy budowa ośrodka wypoczynkowego jest w ogóle na czasie? Czy inwestycyjne wiatry są dla takich zamierzeń pomyślne? Przecież każdy minister ma dziś po kilka węży w kieszeni i tak łatwo grosza na cele nieprodukcyjne nie wypuści. Centralny Urząd Gospodarki Wodnej już określił swe stanowisko. Na żadne tam rekreacje i inne tym podobne rzeczy nie da złamanej złotówki. Nie ma o czym mówić. Jeśli zaś Łódź chciałaby zalew obudować szosą, hotelami, restauracjami i jacht-klubami, to proszę, ale z własnej, terenowej, łódzkiej już kieszeni. Jeśli macie na taką zabawę 150 milionów, to ruszajcie, wstrętów robić nie zamierzamy.

Ba, skąd 150 milionów wydębić?

Łódzkie kolosy fabryczne na razie nabrały wody w usta. Milczą i czekają. Dyrektorzy mają dziś inne kłopoty na głowie. Intensyfikacja produkcji, selektywność, bodźce, nowe drogi i nowy też kurs. Dyrektorzy już wiedzą. Tak czy owak o sulejowskim jeziorze ostatnie słowo wypowiedzą ekonomiści. Więc już lepiej zbytnio się nie wychylać. Już lepiej ostrożnie. Na budowę kanału pójdzie, jak słychać, półtora miliarda, na przeciągnięcie sieci wodociągowej po samym już mieście jeszcze miliard. I nic z tego skreślić się już nie da. A jeszcze dojdą oczyszczalnie, boć zakładom w Piotrkowie, Niechcicach, Koniecpolu i Woli Krzysztoporskiej pod karą wyklęcia nie wolno będzie pompować do Pilicy swych fabrycznych ścieków. A jeszcze koszty budowy zapory wodnej w Smardzewicach...

W dyrekcji „Zarządu Inwestycji Zabudowy Dorzecza Wisły Średniej" wejrzano na mnie bez cienia entuzjazmu.

— Dziennikarz? Do licha, ale najlepiej będzie jeśli skoczy pan od razu do Smardzewic. Już dzwonimy.

Gdy inżynierowie Gaertig, Olszewski i Morawski z „Hydrobudowy" w Smardzewicach dowiedzieli się jak zgrabnie mnie spławiono w Tomaszowie, wybuchnęli śmiechem:

— Niech pan się nie dziwi, dyrektorzy mają teraz urwanie głowy. Jutro spodziewamy się wizytacji egzekutywy Komitetu Łódzkiego i Ko-

Dalszy ciąg na str. 5

ZE ŚWIATA

W Moskwie, na szczeblu ministrów spraw zagranicznych, toczą się rozmowy: ZSRR — NRF. Po licznych kontaktach i wstępnej wymianie poglądów, prowadzonej między Bahrem a Gromyko, przystąpiono do rokowań nad układem o rezygnacji z użycia siły. Przebieg rozmów otoczony jest tajemnicą, chociaż mocarstwa zachodnie informowane są przez Scheela o stanie negocjacji.

W Bonn, podkreślając, iż min. Gromyko 8 sierpnia podobno zamierza udać się na urlop, oczekuje się raczej krótkich, ale intensywnych rozmów. Równocześnie kanclerz Brandt zaprzeczył jakoby układ został już wynegocjowany i „Scheel jedzie do Moskwy tylko po to, aby układ podpisać". „Po dokonanej pracy wstępnej — dodał Brandt — wymaga on jeszcze poza tym ogólnej politycznej wymiany zdań; minister będzie mówił także o konkretnych problemach przyszłej współpracy".

Zanim jednak Scheel wyjechał do Moskwy — złożył wizyty w Londynie i Waszyngtonie, prowadząc konsultacje z głównymi partnerami NRF. O ich wyniku powiedział dziennikarzom w Waszyngtonie: "...Lecę do Moskwy, mając absolutną pewność, że moje rokowania z min. Gromyką zostaną przyjęte przez naszych sojuszników nie tylko ze zrozumieniem, ale także z pełną aprobatą i poparciem".

W Londynie nowy minister spraw zagranicznych rządu brytyjskiego — Douglas Home zapewnił zachodnioniemieckiego rozmówcę, że jego rząd z wielkim zainteresowaniem śledzi politykę wschodnią NRF i dał wyraz poparciu dla działalności i celów tej polityki. Brytyjskie koła oficjalne zwróciły jednak uwagę, że moskiewskie rozmowy Scheela będą rozpatrywane „w większym kontekście problemów NATO i jedności europejskiej".

Również w Waszyngtonie, podczas rozmów z Rogersem i Nixonem, boński minister miał być podobno wysłuchany uważnie i spotkać się z poparciem. DPA dodaje jednak, że choć szczegóły tych rozmów nie są znane, koła poinformowane twierdzą, z całą pewnością, iż rozważano także powiązania między rokowaniami moskiewskimi a czteromocarstwowymi rozmowami w sprawie Berlina. Natomiast rzecznik Departamentu Stanu podkreślił, że wysiłki rządu NRF" są uzupełnieniem naszych własnych starań o poprawę sytuacji międzynarodowej".

Z wszystkiego, co powiedziano powyżej, można by wnioskować, że anglosascy partnerzy Bonn w pełni zaaprobowali działanie rządu NRF, zmierzające do finalizowania rozmów z ZSRR. Czy tak jest naprawdę — okaże się w najbliższym czasie w Moskwie.

W samej NRF natomiast — w związku zarówno z rozmowami w stolicy ZSRR, jak i piątą rundą rozmów Polska — NRF, które znów odbyły się w Warszawie, opozycja Brandta — Scheela ruszyła do nowego szturmu. — Dopóki dokładnie nie poznamy wszystkich aspektów misji Scheela, nie może on parafować układu — oświadczył ostatnio sekretarz parlamentarny frakcji CDU/CSU. Parafowanie takiego układu przed ponowną dyskusją w Bonn byłoby — zdaniem opozycji — działaniem rządu poza plecami opinii publicznej. CDU mówi także otwarcie o tym, że przeciwna jest jakimkolwiek nowym krokom rządu „przed zadowalającym rezultatem rozmów przedstawicieli 4 mocarstw w sprawie Berlina". Przypuściła ona wreszcie atak na koalicję rządową za to, że „wykorzystuje poglądy sojuszników zachodnich na politykę wschodnią rządu federalnego — jako instrument propagandy wewnętrzno-politycznej". Tak przeto sprawdza się nasze przypuszczenie, któremu daliśmy wyraz przed trzema tygodniami w „Ze świata", że walka między partiami w NRF wkroczyła w nową fazę.

Obszerne miejsce, jakie poświęciliśmy dzisiaj aktualnej działalności rządu Brandta-Scheela, uzasadnione jest sytuacją chwili — politycznie bardzo ciekawą, a może nawet zwrotną w stosunkach NRF z krajami Europy wschodniej.

Z innych najaktualniejszych problemów międzynarodowych warto zwrócić uwagę czytelników na rozwój wydarzeń bliskowschodnich. Trwają bowiem intensywne konsultacje, których bezpośrednim powodem jest nowy akt dobrej woli ZRA — gotowość, wyrażona przez Nasera przyjęcia sugestii, zawartych w propozycjach amerykańskich.

Komentatorzy gotowość tę wiążą z moskiewskimi rozmowami Nasera i zdaniem wspólnego komunikatu, który brzmi: „Obie strony zanalizowały inicjatywy, jakie należy podjąć dla zapewnienia pokojowego uregulowania konfliktu...".

Wszystko to, rzecz jasna, niepokoi Izrael. Nowa ofensywa dyplomatyczna, sprawia, iż Tel-Awiw pomniejsza znaczenie rozmów Nasera w Moskwie dla przywrócenia pokoju. Jednocześnie niemal w każdym wystąpieniu przywódców izraelskich podkreśla się przekonanie, że Stany Zjednoczone nie zawiodą i będą kontynuować pomoc wojskową. Zapowiedziano podróż Goldy Meir do Waszyngtonu. W atmosferze wojowniczości, jaka panuje w Izraelu, nietrudno odgadnąć cele tej wizyty.

Tymczasem z dużym zainteresowaniem oczekuje się odpowiedzi Izraela na propozycje USA. Z pewnością, w sytuacji, jaka się wytworzyła, nie może ona być negatywną może natomiast być wykrętną. Rząd izraelski wciąż bowiem nie chce zaakceptować pokojowych dróg uregulowania konfliktu.

W. SLAWSKI

Lubię zwierzęta, nie cierpię ich właścicieli, czyli tzw. miłośników, którzy kochają psy, koty, kanarki, ryby i resztę fauny. Miłość do zwierząt jest dla mnie czymś podejrzanym. Zawsze odnoszę wrażenie, że miłośnicy kochają zwierzęta przeciwko ludziom. Tymczasem uczucie miłości winno być zarezerwowane wyłącznie dla człowieka, zwierzętom wystarczy nasza przyjaźń.

Właścicieli i miłośników zwierząt jest, niestety, coraz więcej. Oczywiście bardziej właścicieli niż miłośników. Pies jest ich znakiem rozpoznawczym. Dziś już nie samochód czy lodówka, lecz właśnie rasowy pies podkreśla ich status społeczny na towarzyskiej loterii. Obłudny mają oni stosunek do zwierząt. W ogóle między człowiekiem a zwierzęciem nazbierało się mnóstwo fałszu i zakłamania, może nawet więcej niż w stosunkach między samymi ludźmi.

Był czas, kiedy ludzie bali się zwierząt. Dziś ludzie się zwierząt nie boją. Zwierzęta ludzi się boją. Więcej jest psów pokaleczonych przez ludzi niż ludzi pokąsanych przez psy. Właśnie ze wszystkich zwierząt szczególnie psy najbardziej są narażone na ludzką miłość. Wierne to bowiem zwierzęta, obca im chytrość, cwaniactwo, wyrachowanie. Łatwo się dają wyprowadzić w pole. Znam wypadek, kiedy jednemu z miłośników znudziło się to domowe bydlę, wsiadł do samochodu i kazał psu biec za sobą. Zamierzał gdzieś po drodze go zgubić. Dojechał w ten sposób z Łodzi do Katowic. Wierny pies ścigał go do samego końca. Barbarzyństwo. Nie ma chyba nic wstrętniejszego niż nadużycie czyjejś wierności, oddania i przywiązania. Bez względu na to, czy to człek, czy zwierzę. Zresztą człowiek szybko by się na tym poznał, zwierzę nie dowie się nigdy.

A zwierzęta stare i oślepłe, z którymi miłośnicy nie potrafią się z miłości rozstać? Ślepe zwierzę nie wie, że jest ślepe, potyka się, rani, kaleczy. Okrucieństwo. Zdrowszy już jest stosunek chłopa, który trzyma swego Burka na łańcuchu. Nie zasłania chociaż psiego niewolnictwa miłością. Powoduje nim motyw praktyczny.

Ale niektóre psy też nie są lepsze od ludzi. Łaszą się, podlizują, merdają ogonkiem, stają na dwóch łapach, żeby się tylko przypodobać. Lokajska natura. Szanuję tylko złe psy. Tym razem miał rację Antoni Słonimski, kiedy pisał, że nie lubi psów, dzieci, ptaków, a kwiaty w ogóle uważa, że są świnie. („Nie lubię dzieci, kwiatów, ptaszków, piesków i tym podobnych bredni. To ja odkryłem, że kwiaty są świnie"). Słusznie. Miłośnicy są tacy sami. Bo pomyślcie tylko, jak można kochać jednocześnie wszystkie zwierzęta. Kurę i lisa. Gołębia i jastrzębia. Wilka i owcę. Psa i kota.

Otrzymałem od miłośników zwierząt dwa listy. W jednym z nich miłośniczka ptaków pisze: „Obserwowałam, jak olbrzymi kot schwycił wróbla. Wróbel okropnie piszczał, jednak kot szybko go schrupał i pisk ustał. Wśród ptaków znajdujących się po ochroną wróbli nie ma. Ale przecież wróbli jest coraz mniej. Niszczą je bezpańskie koty. Niedługo zamiast śpiewu ptaków lub choćby ćwierkania wróbli, będziemy się zachwycać kocią muzyką. Uważam, że bezpańskie koty należy tępić".

W drugim liście głos zabiera z kolei miłośniczka kotów: „Wyjrzałam z okna na dwór i usłyszałam przeraźliwy pisk kota, a także ujadanie psa. To dozorca rzucił kijem w kota, a gdy ten trafiony spadł na ziemię, pies dogryzł go. Gdy spytałam dlaczego to zrobił, dozorca powiedział, że kot niszczy ryby. Zastanawiam się teraz, czy w naszej okolicy myszy nas nie zagryzą, gdy będziemy tępić koty".

Oto jak żywotna jest legenda o Popielu. Niektórych ludzi na myśl o tym tragicznym wydarzeniu jeszcze dziś lęk ogarnia.

KAROL PRAŻMOWSKI

Kompleks Popiela

Listy do redakcji

SZANOWNA REDAKCJO!

Autor poniższego artykułu został upoważniony przez Rektorat PWSFTViT w Łodzi do zamieszczenia tych kilku informacji, w prasie łódzkiej i filmowej, które mam nadzieję zainteresują Waszych czytelników — stąd prośba o ich wydrukowanie.

„Rekwizyty Iluzjonu? — Aktualności z myszką? — Kronika Kinematografu? — Odgłosy dawnych lat?..." Jakkolwiek by nie zatytułować — faktem jest, że obecnie decyzją Rektoratu w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi przy ul. Targowej 61 — gromadzone od kilku lat eksponaty związane z historią techniki filmowej znalazły swoje miejsce w Gabinecie Techniki Filmowej przeznaczonym do celów dydaktycznych. Gabinet ten — być może zostanie w przyszłości przekształcony w Muzeum Techniki Filmowej. Kilkadziesiąt zgromadzonych, ciekawych eksponatów przypomina nam „prehistoryczne" i wczesne lata kinematografu. Obejrzeć tu można takie atrakcje jak: latarnię magiczną — dawną machinę do wywoływania duchów — a obecny... prototyp rzutnika do przezroczy, tajemnicze phenakistiskopy, zootropy, praksinoscopy, czy kilkuosobowy mutoscop na ruchome... fotografie.

Jest też sprzęt stary i nieużywany już jak kamery i projektory na korbkę, który mi kręcono filmy w takt walczyka. Znajdują się również eksponaty sprzed kilku dziesięciu lat, którymi jednakże realizowano u nas filmy prawie do dzisiejszego dnia — wysłużone kamery Debrie, Askania, Morrigraf, czy reporterska Kinap — używana na frontach II wojny światowej. Są stoły montażowe, mikserskie i aparatura do udźwiękowiania. Wśród nich ciekawy dictawest na... magnetyczne płyty! Znajdujemy też sporo różnego typu aparatów fotograficznych — na klisze, altanowych i sprzętu pomocniczego.

Sprzęt ten służyć będzie w nowym roku akademickim do demonstracji i wykładów z różnych przedmiotów: Historii Sztuki Filmowej, Techniki i Sztuki Operatorskiej, Techniki Dźwięku i Fotografiki.

W przyszłości uczelnia chciałaby udostępnić eksponaty ponadto szerokim rzeszom zwiedzających — i stąd dwie nadzieje, dotyczące ew. decyzji władz i uwagi czytelników — myśl o znalezieniu odpowiedniego lokalu oraz prośba do wszystkich miłośników kina, którzy posiadają niepotrzebny, wysłużony, a mogący mieć jakąś wartość historyczną, sprzęt filmowy, fotograficzny, kinematograficzny. Tak do instytucji, jak i do osób prywatnych: Szkoła oczekuje na ofiarodawców! A mamy nadzieję, że wszyscy na tym skorzystamy.

mgr ANTONI KRAUS

POLONICA

PO FESTIWALU

Jak wiadomo z wielu doniesień — w ubiegłym roku na radzieckich scenach królowała dramaturgia polska. W ramach festiwalu, który odbywał się pod hasłami 25-lecia Polski Ludowej, we wszystkich prawie teatrach radzieckich wystawiano polskie sztuki. Większość z nich w dalszym ciągu utrzymuje się na afiszach. W Moskwie do największych sukcesów zaliczyć można trzy pozycje polskie. Teatr imienia Wachtangowa już od 10 lat gra bez przerwy „Damy i huzary" Aleksandra Fredry.

Czołowy i chyba najbardziej przez moskwiczan lubiany, młody teatr na Tagance gra z wielkim powodzeniem sztukę Jerzego Stawińskiego „Czas pik". Warto tu dodać, że publiczność radziecka szczególnie upodobała sobie twórczość tego pisarza — wszystkie jego sztuki wystawiane w Moskwie i innych miastach, zawsze idą bardzo długo i zawsze w nadkompletach. Ogromnie interesujący teatr „Sowremiennik" bawi widzów uroczym music-hallem Agnieszki Osieckiej „Apetyt na czereśnie", do którego teksty rosyjskie napisał Okudżawa. Ponadto utrzymują się w repertuarze teatrów radzieckich sztuki Zapolskiej, Żeromskiego, Kruczkowskiego, Iwaszkiewicza i in.

(MAW.)

POLONICA

Medytacje zgniecionego pasażera

Dalszy ciąg ze str. 1

scowości letniskowych, od lat bezskutecznie. W większości przypadków trzeba siłą zdobywać miejsca w dalekobieżnych pociągach, które przychodzą do Łodzi już wypełnione do granic możliwości.

Kolej dostosowała się do szczytowego nasilenia letnich podróży w taki sposób, że z Łodzi do Kołobrzegu, na Hel, do Świnoujścia, Zakopanego i Krynicy można dostać się bądź okresowo kursującymi pociągami, bądź bezpośrednimi wagonami, które doczepia się do pociągów lokalnych, a dalej do pociągów pośpiesznych: w Kutnie bezpośrednie wagony do Świnoujścia, a w Skarżysku-Kamiennej — do Krynicy i Zakopanego.

Zdaniem pasażerów bezpośrednie wagony nie rozwiązują problemu komunikacji mieszkańców drugiego w Polsce miasta i uważają oni, że powinny stąd odchodzić bezpośrednie pociągi. Kolejarze niby to zgadzają się z tą opinią, ale w praktyce specjaliści od układania rozkładu jazdy, takich pociągów Łodzi prawie nie dają, tłumacząc, że przez Łódź lub pobliskie Koluszki przechodzi większość dalekobieżnych pociągów jadących we wszystkie strony kraju.

Co z tego mamy?

Amatorzy podróży do Szczecina pociągiem przychodzącym z Lublina i odchodzącym z Chojen 12 minut po północy, próbowali już wsiadać do niego w... Słotwinach, ale i to na nic się zdało. Podobnie jest w wypadku innych pociągów, przejeżdżających przez Łódź lub w jej pobliżu.

Pasażer ma prawo powiedzieć: — Chcę jechać wygodnie! Nic mnie nie obchodzą trudności PKP.

Pewien mój rozmówca zgodził się z takim stanowiskiem, ale przebiegle zapytał:

— Chciałby pan być właścicielem kolei?

— Czy ja wiem.

— To niech pan sobie wyobrazi, że jesteśmy wspólnikami. Mamy 100 wagonów. W sezonie potrzeba nam 300. Kupiliśmy je i przez 10 miesięcy stoją bezczynnie, bo w tym czasie nie ma większego ruchu. Czy to nam się opłaci?

PKP też nie. Więc co robić?

RADA NA TŁOK?

PKP we wstępie do każdego rozkładu jazdy stwierdza, że liczba miejsc w przedziałach „zasadniczo wynosi" w I klasie — 6 i w II — 8, ale kiedy pociąg jest przepełniony wtedy „apeluje do podróżnych", aby w I klasie siadało 8, a w II — 10 osób. A więc PKP od razu przyznaje się, że nie może zapewnić wszystkim pasażerom miejsc siedzących. Pewnym wyjściem z tej sytuacji miało być wprowadzenie miejscówek, czyli miejsc urzędowo zarezerwowanych, za którą to czynność kiedyś, w niektórych pociągach pośpiesznych, pobierano 5 zł, teraz we wszystkich — 10 zł.

W Łodzi można kupić miejscówki tylko

ZENON RUDNICKI

MYŚL O POLSCE

w niemieckiej prozie XIX wieku

Przez długie lata pracowicie układana mozaika z często nie znanych nazwisk i jeszcze częściej z nie znanych tytułów powieści, nowel, opowiadań, powiastek i anegdot o tematyce polskiej ujrzała światło dzienne. Rozprawa *) doc. dra habil. Arno Willa, kierownika Katedry Filologii Germańskiej UŁ, jest dziełem wyjątkowym, jeżeli pominiemy prace J. Chodery, M. Urbanowicza, L. Sługockiej i G. Koziełka, które omawiają określone wycinki XIX wieku lub zajmują się przede wszystkim wiekiem XX. Wyjątkowość rozprawy stawia piszącego o niej w sytuacji przypominającej w pewnym stopniu jedno z porzekadeł autora, które głosi, że jeżeli zechcemy sobie uszyć buty, to nie pójdziemy do krawca. Słusznie. Pocieszenie w mojej sytuacji stanowi jednak fakt, że i krawiec jest w stanie ocenić przymioty butów, zwłaszcza w zakresie ich użyteczności. Z tej skromnej pozycji wypadnie mi skreślić kilka spostrzeżeń powstałych w czasie czytania tej książki.

Autor rozprawy wychodzi ze słusznego założenia, że wiele spraw życia kulturalnego narodów obszaru języka niemieckiego wymaga ciągłej i wnikliwej obserwacji oraz oceny. Aby ułatwić badaczom prawidłowe rozwikłanie spraw najnowszych autor postanowił spojrzeć w głąb ubiegłego stulecia, w dzieje literatury niemieckiego obszaru językowego o tematyce polskiej i pragnie wyciągnąć z niej właściwe wnioski. Rozprawa ogranicza się do prozy, gdyż w dziedzinie poezji polonofilskiej dokonano sporo, wydano antologie, z uznaniem pisano o tej twórczości. O odnajdywanie utworów prozatorskich w szerszym ujęciu nie pokusił się dotąd żaden historyk literatury, a przecież nikt, jak już pisaliśmy w naszym tygodniku, nie zastąpi polskiego germanisty w tym zakresie. Cieszy fakt, że nasza zachęta sprzed trzech lat nabrała realnych kształtów.

Nie jest oczywiście w pełni możliwe przeprowadzenie całościowej retrospektywy, chociażby dlatego, że zawierucha ostatniej wojny pochłonęła bezpowrotnie olbrzymie materiały, które nie zawsze dadzą się odtworzyć ze źródeł wtórnych. Jednakże to, co zdołał zebrać autor, mimo ogromnych trudności, jest imponujące. Zebrana dokumentacja umożliwia nakreślenie zasadniczego kierunku rozwoju i orientacji tego piśmiennictwa i właściwe podsumowanie go. Obszerny nurt literatury dokumentalnej pierwszej połowy XIX wieku oddziaływał głęboko na rozwój piśmiennictwa beletrystycznego tego stulecia, odsłaniał horyzonty dotąd nie dostrzegane, pobudzał do poszukiwania nowych tematów z życia naszego narodu.

Omawiając ważniejsze utwory autor zwrócił również uwagę na wpływ i zależności pisarzy, zwłaszcza na to:

1) który z autorów swobodnie porusza się po rozległych przestrzeniach historii polskiej;

2) który z nich stworzył własny styl, jednocześnie sygnalizując autonomiczność dzieła.

W przeglądzie tej bogatej literatury o Polsce i różnorodnej pod względem formy i treści autorowi nie udało się oczywiście omówić wszystkich utworów i wszystkich zagadnień, jakie ona przynosiła. Podkreślił jednak przede wszystkim wspólne tendencje według następujących kryteriów:

1) obrany temat, treść w jego najogólniejszym zrozumieniu, a więc to, co niezależnie od wszystkich zmian nastrojów określało zainteresowanie autora Polską na przestrzeni XIX wieku;

2) emocjonalny stosunek autorów do opisanego zagadnienia, który stał się wykładnikiem uczuciowego stosunku Niemca do narodu polskiego;

3) nastrój udzielający się czytelnikowi po przeczytaniu danego utworu.

Autor rozprawy nie dokonuje przeglądu w układzie chronologicznym, lecz w układzie tematycznym, co ułatwiło wydobycie stopnia wykorzystania źródła informacji i pokazania utworu w kontekście o podobnej tematyce. Stąd wywodzi się konsekwentnie następujący układ pracy:

1) Echa Polski szlacheckiej w prozie literackiej XIX wieku;

2) Polska i Polacy we współczesnej literaturze wspomnieniowo - reportażowej;

3) Powstanie polskie w świetle niemieckiej beletrystyki XIX wieku;

4) Beletrystyka społeczno-obyczajowa o tematyce polskiej w XIX wieku.

Autor rozprawy obalił dotychczasowy pogląd twierdzący, że liczne utwory o tematyce polskiej powstały przede wszystkim w wyniku reakcji społeczeństwa obszaru języka niemieckiego na wybuch powstania listopadowego. Udowadnia natomiast, że „literatura faktu i w XIX wieku wyprzedziła spontaniczny rozwój literatury beletrystycznej. Nie zajęła się ona w pierwszych dziesięcioleciach opisem życia polskiego, ograniczyła się raczej do daleko idących zainteresowań geograficznych. Jedynie w niewielu wypadkach zwraca uwagę na folklor i zagadnienia społeczno-obyczajowe. Dla rozwoju literatury o Polsce decydujący jest rok 1825. W tak zwanej literaturze pięknej wykrystalizował się wtedy nurt beletrystyki historycznej i literatury społeczno-obyczajowej. Wybuch powstania listopadowego zrodził jedynie nowy nurt beletrystyki historycznej, tzw. literaturę powstaniową."

Wnioski swoje sprowadza autor w końcowej fazie rozprawy do stwierdzenia, że „mimo nacisku propagandy i antypolskiej polityki rządów, ciągle żywy był nurt literatury z pełnym zrozumieniem patrzącej na sprawy polskie, walczącej o słuszne prawa narodu pozbawionego własnej państwowości, ale również z troską wskazującej na niedomagania w naszym życiu społecznym."

Autor rozprawy wydobył zapomniane nazwiska licznych pisarzy niemieckiego obszaru językowego. Nasuwa się w tym miejscu na myśl twierdzenie J. Koprowskiego głoszące, że nie ma pisarza w niemieckiej historii literatury, zwłaszcza w wieku XIX, który by nie zajmował się tematyką polską. Autor rozprawy udokumentował to twierdzenie przypominając dziesiątki pisarzy i ich liczne utwory.

Ta w swoim charakterze encyklopedyczna rozprawa nie jest książką, którą można odłożyć po przeczytaniu. Powinna być stale pod ręką — stąd ubolewanie piszącego, że omawia książkę, która nie należy do jego zbiorów. Jest jedynie książką terminowo wypożyczoną.

W rozprawie odczuwa się pewien niedosyt szerszego omówienia znaczniejszych pisarzy. Ale, jak sądzę, przyczyny szukać należy nie u autora, lecz u wydawcy. Brak papieru spowodował, że niektóre informacje są niezwykle skondensowane. Np.:

1) „W 1828 roku F. Grillparzer, ten wielki talent niewyczerpanej poetyckiej wyobraźni, który w latach trzydziestych był gorącym entuzjastą walki wolnościowej Polaków..." (s. 19), czego niezbitym dowodem ma być wiersz „Warschau". Miałoby się ochotę trochę pospierać na ten temat.

2) „Jakże inaczej widział generała Bema darzący go szczerą sympatią L. Anzengruber w „Der Adjutant des Generals Bem." (s. 77). Nie znając tego opowiadania trudno sobie wyobrazić tę złożoną sympatię pisarza, a utwór dostępny jest tylko w Bibliotece Narodowej w Wiedniu.

3) „Utworami ubiegającymi się o to, by dać osąd ideowo-historyczny podstawowych problemów polskich tego czasu są: Jakob Szela i Der Kreisphysikus, M. Ebner-Eschenbach oraz Die Polengraeber W. Messenhausera". (s. 81). Trudno by było odpowiedzieć sobie na pytanie, jaki jest osąd ideowo-historyczny podstawowych problemów polskich, kiedy nie zna się odnośnych utworów, zwłaszcza Messenhausera, a autor w swojej kondensacji stwierdza tylko, że problemy te były bardzo złożone.

Wzmiankowane niedomogi, zresztą nie zawinione przez autora nie mają oczywiście decydującego wpływu na całokształt dzieła. Szkoda jednak, i to jest poważne niedociągnięcie, że rozprawa nie jest zaopatrzona w indeks nazwisk pisarzy. Ten rodzaj publikacji wymaga tego organicznie, bowiem nie jest przeznaczona do jednorazowej lektury. Ponadto może stanowić kopalnię tematów do prac magisterskich, a nawet do rozpraw na wyższym szczeblu badań naukowych.

Przejrzysty język rozprawy, gruntowna korekta, czytelna czcionka, dobry papier, rozbudowany aparat naukowy i obszerna bibliografia (320 pozycji!) harmonijnie uzupełniają walory omawianej książki.

ZENON RUDNICKI

*) Arno Will, Polska i Polacy w niemieckiej prozie literackiej XIX wieku, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1970.

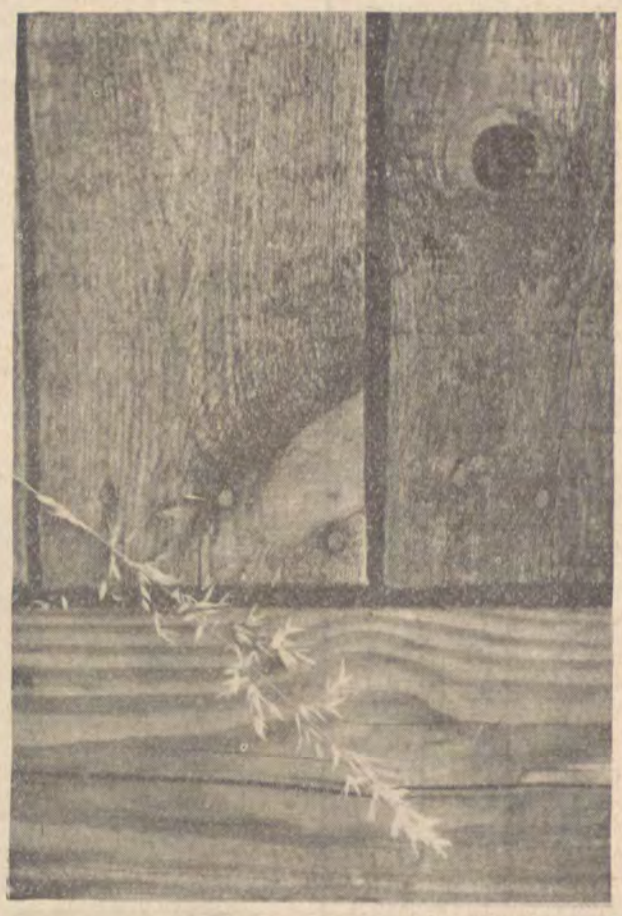

Jerzy Stankiewicz — Kompozycja

w trzech wypadkach: do Świnoujścia, Kołobrzegu i na „Pomorzanina". Wprawdzie Biuro Rezerwacji Miejsc sprzedaje również miejscówki dla pasażerów pociągów przejeżdżających przez Łódź, ale tylko taką ilość, jaką przydzieli mu Warszawa.

Ludzie przywykli już do miejscówek, choć rezerwowanie miejsc w I klasie w dalszym ciągu budzi wiele wątpliwości.

— Jeśli dopłacam do biletu połowę ceny, to dlatego, że chcę siedzieć. Suma jaką wydaję na bilet powinna mi to gwarantować. Dlaczego więc mam dopłacać do tego interesu jeszcze 10 zł? — pyta pasażer i... kupuje miejscówkę.

Bo przecież w każdym pociągu spotyka się stłoczonych w korytarzach, klnących na czym świat stoi pasażerów z biletem I klasy w kieszeni.

Właściwie można by dla kawału umówić się i wykupić parę tysięcy biletów na każdy pociąg, choć wiadomo, że tyle miejsc w nim nie ma. I żaden kasjer PKP nie powie kupującemu:

— Co pan robi, w pociągu nie ma już miejsc.

A powinien.

Powinien informować przynajmniej podróżnych I klasy, że ilość miejsc siedzących w danym pociągu została wysprzedana. Więcej nawet. Powinno się chyba wprowadzić zasadę, że w I klasie pociągów dalekobieżnych sprzedaje się tylko tyle biletów, ile jest miejsc siedzących. Nikt mi nie wmówi, że pracownicy kolei nie umieją liczyć. Przy istniejących środkach telekomunikacji — a kolej takie ma — informowanie o sprzedaży biletów I klasy nie powinno nastręczać trudności. Tak jak to się dzieje z informacjami o miejscówkach.

Opowiadano mi niedawno taką autentyczną historyjkę. Do zawiadowcy stacji Łódź-Kaliska przyszło kilku mężczyzn i pyta, czy nie można byłoby wstrzymać sprzedaży biletów na odchodzący za 15 minut pociąg. Bo już nawet wcisnąć się do niego jest niemożliwością. Zawiadowca chętnie spełnił ich prośbę. Nie minęło pięć minut, kiedy wpadła grupa mężczyzn, domagając się ujawnienia autora tak idiotycznej, ich zdaniem, decyzji. Oni chcą mieć prawo kupienia biletu, a to, jak pojadą — nikogo już nie obchodzi.

Więc jeszcze raz zapytajmy — czy kasjer powinien przestrzec pasażerów, że miejsc już nie ma?

Chyba tak. Nauczyliśmy się już, że autobusy PKS zabierają ograniczoną liczbę pasażerów, a przecież kolej nie jest z gumy i trzeba się z tym faktem powoli oswoić. Tylko, że jak do tej pory nikt nas tego nie zaczął uczyć.

SPÓŹNIONE POCIĄGI

Byłem kiedyś świadkiem takiej sceny. Z Koluszek ma odejść do Łodzi pociąg o godz. 20.36. Jest już 4 minuty po tym czasie, a pociąg nadal stoi. Z megafonu rozlega się głos:

— Do kierownika pociągu nr 4032: dlaczego pociąg nie odjeżdża?

Wyglądam przez okno i widzę, jak kierownik przerywa może ważną rozmowę i idzie do pociągu, dając znak odjazdu.

Wiem, że pisać o spóźnieniach pociągów przy świadomości stanu technicznego torów, natężenia ruchu i stanu taboru PKP to tyle, co kłaść palce między drzwi, wiedząc, że zaraz ktoś je zamknie. Bo obrażą się wszyscy. Kolejarze — skoro wie, to dlaczego pisze, a pasażerowie — bo co nas obchodzi stan, skoro właściwie nie ma pociągu, który by się nie spóźniał.

— Nie dość, że całą drogę stałem — mówi na stacji zmęczony wczasowicz, który właśnie wrócił do Łodzi — to jeszcze „ta cholera" spóźniła się półtorej godziny. Dawno byłbym już w łóżku.

Jedni klną, bo później położą się spać, inni, bo właśnie stracili ostatnie połączenie i w perspektywie mają kilkugodzinne siedzenie na dworcu. Czy można uniknąć spóźnień?

Myślę, że tak, a wiele zależy od ludzi. Na pewno będą zdarzały się awarie, które pociągną za sobą spóźnienie niejednego pociągu, ale bardzo często wszystko zależy przede wszystkim od dyscypliny brygady pociąg prowadzącej, od pracy ludzi dbających o sprawny jego przebieg na całej trasie. Nie mogę przecież wbrew zdrowemu rozsądkowi uwierzyć, że stan techniczny i inne obiektywne przyczyny powodują, że pociąg musi ruszać już z macierzystej stacji z kilkuminutowym opóźnieniem.

CO ROBIĆ W PODRÓŻY?

W normalnych warunkach można czytać, rozmawiać, myśleć, albo spać. Latem podróżny stara się najczęściej przetrzymać jakoś ten dopust boży, jakim jest podróż. Musi też jeść i pić. Tradycja każe brać w podróż torbę z termosem lub butelką po wódce, w której jest herbata oraz kilka bułek i jajka na twardo. Tradycja jest, jak zwykle, mądra, bo „Wars" nie zapewnia podróżnemu po pierwsze — wagonów restauracyjnych, a po drugie — wagonów-bufetów, wyposażonych w lodówki, kuchenki itp.

W zamian „Wars" uruchomił bufety w przedziałach. Takie bufety są w pociągach jadących z Łodzi do Jeleniej Góry, do Rzeszowa i Zakopanego, Szczecina, Warszawy i Suwałk. W „Pomorzaninie" jedynym łódzkim ekspresie — nie ma ani bufetu, ani wagonu restauracyjnego. Pociąg z Łodzi odchodzi 14.43 i kto nie zje przedtem obiadu, do 21,16 będzie głodny. Rozwiązanie tej sprawy zależy jednak nie od łódzkiego oddziału „Warsu", a od... gdyńskiego. Niby jedno przedsiębiorstwo, a przecież granica administracyjna warunkuje podział interesów.

Ale największym nonsensem jest to, że do bufetowego przedziału obsługa bierze zapas napojów i jedzenia na całą drogę i z powrotem. Łódzkie zespoły nie mogą zaopatrywać się w „Warsie" w Rzeszowie, Jeleniej Górze czy Zakopanem. Nie mogą i już, bo to sprawa różnych przydziałów, zapasów, rozliczeń itp. Kto by w tym wszystkim znalazł jeszcze czas na troskę o podróżnego.

UMOWA JEDNOSTRONNA

„Spóźniony odjazd lub przyjazd pociągu, odwołanie pociągu lub wyłączenie z pociągu wagonu nie dają podróżnym prawa żądania odszkodowania od kolei".

„Podróżny powinien:

1. Przed rozpoczęciem przejazdu nabyć bilet w kolejowej kasie biletowej lub w placówce upoważnionej do sprzedaży biletów.

2. Sprawdzić, czy otrzymał właściwy bilet.

3. Zachować bilet, okazywać go i wręczać do sprawdzenia na żądanie właściwego personelu kolejowego.

4. Dbać o to, aby wsiąść do właściwego pociągu, przesiąść i wysiąść na właściwej stacji.

5. Oddać bilet kolei po zakończeniu podróży".

Gdyby tak dalej studiować wstęp, jaki zawiera każdy rozkład jazdy pociągów, to znajdziemy w nim 36 punktów, z których wszystkie mówią co pasażer powinien i tylko jeden — cytowany powyżej — wyjaśniający, czego w zamian za to kolej pasażerom nie gwarantuje. Jest więc to umowa jaskrawo jednostronna, wynikająca z prostego faktu, że kolej jest jedna, a potencjalnych pasażerów tylu, ilu obywateli ma PRL. I każdy prędzej czy później będzie musiał gdzieś pojechać. Tylko, jak długo jeszcze — my pasażerowie, będziemy się z tym faktem godzić?

BOGUMIŁ LEJKOWSKI

POLONICA

POLSKIE NOWELE PO FRANCUSKU

„By wzbudzić śmiech lub marzenie" („Pour rire et rever), taki tytuł nosi zbiór polskich bajek i opowieści, opracowanych dla francuskich dzieci z drugiej klasy szkolnej, przez profesora Uniwersytetu w Tours, André Mareuil oraz polską dziennikarkę, Irenę Lubaszewską-Ochnio. Wydawca jest paryska firma wydawnicza „Istra" (93, rue deJeanne d'Arc, Paris). Drugi to już tom polskich opowieści dla francuskich dzieci, opracowanych przez prof. Mareuil i Irenę Lubaszewską, a ogłoszonych przez firmę „Istra" (Pierwszy z 1968 roku nosił nazwę „Sześć opowieści dla grzecznych dzieci").

Tom obecnie ogłoszony, opiera się na tekstach J.A. Kraszewskiego, Cz. Kędzierskiego, A. J. Glińskiego, Hanny Ożogowskiej, która jest laureatką nagrody im. Andersona. Ilustracje Bernadette Theulet-Luzié, Beatrix Tanaka, Jeanne Boubert, Christianne Neuville, Michele Rivol. Opracowano książkę wedle zasad pedagogiki zmodernizowanej, zmierzającej do jak największej samodzielności dziecięcego czytelnika, wyrobienia umiejętności samodzielnego myślenia i poprawnego wyrażania tych myśli. Z tego powodu dodano mały słowniczek użytych wyrażeń oraz „książeczkę odpowiedzi". Na pewno wydawnictwo to mogłoby być pożyteczne także i dla polskich dzieci, uczących się francuskiego języka.

(wn)

FRANCUSKI PISARZ A NASZE POWSTANIE STYCZNIOWE

Wybitny pisarz francuski, Armand Lanoux, członek Akademji Goncourtów, napisał dla 1255 numeru paryskiego tygodnika „Le Figaro Littéraire" (z 8—14 czerwca 1970) ostry artykuł, atakujący cesarza Napoleona III, z okazji stulecia upadku „drugiego cesarstwa". Lanoux zarzuca Napoleonowi „małemu" m. in., że wdał się w wiele wojen, których powinien był unikać, natomiast zaniedbał interwencji na rzecz polskiego powstania styczniowego 1863/64 roku oraz antypruskiej interwencji po Sadowie, co koniecznie powinien i musiał przedsięwziąć.

(wn)

KAROL BADZIAK

PISKORZ w kajdankach

Wbrew tytułowi nie będzie to felieton ichtiologiczno-kryminalny. Wyłącznie kryminalny. Piskorz to przestępca. Może nie tyle groźny co szkodliwy. Nie tyle szkodliwy, co śmieszny. I nie tyle śmieszny co smutny. Wojciech Piskorz, syn Józefa i Marty, z domu Gruszka, zamieszkały w Łodzi przy ul. Sędziowskiej (!). Wykształcenie — pięć klas szkoły podstawowej, z zawodu hydraulik, bez majątku, karany, niestety, kilkakrotnie karany.

Ażeby lepiej scharakteryzować Piskorza pozwolę sobie na moment język sprawozdawcy sądowego zastąpić językiem recenzenta teatralnego. A więc Piskorz to przestępca charakterystyczny. Nie dramatyczny. Przestępca o szerokim emploi. Kary z art.: 187 KK, 257 KK i 161 KK. Jego ulubioną sceną to sąd i więzienie, ale należy dodać, że w krótkich przerwach między spektaklami nie gardził również gościnnymi występami wśród szerszej publiczności. Najchętniej grał wtedy rolę prokuratora. Jego ulubionym rekwizytem, mającym uwiarygodnić postać, którą kreował, były kajdanki. Wynikało to z osobistych przeżyć i doświadczeń. Rezultatem każdego kolejnego spotkania z przedstawicielami prawa były bowiem kajdanki, które świetnie pasowały do przegubów jego czystych rąk, to znaczy nie zbrukanych pracą w melancholijnym zawodzie hydraulika.

Fot. A. W. Pietrzak

Piskorz Kargulem nie był, a to z tej prostej przyczyny, że był Piskorzem, czyli człowiekiem opanowanym obsesją wolności i swobody. Więzienie, które było jego przeznaczeniem, traktował jako zło konieczne. Źle się tam po prostu czuł. Uważał, że pobyt w celi działa bardzo kiepsko na jego cerę. Pięcioletni wyrok, który odbywał w swoim czasie za jakiś tam drobiazg, zupełnie mu nie przypadł do gustu. Taki już miał charakter. Postanowił sam siebie zwolnić. Właściwie to nic trudnego. Zwędził z ambulatorium więziennego formularz orzeczenia lekarskiego, wypełnił go wedle własnego uznania, wystawiając sobie świadectwo człowieka bardzo chorego, stojącego prawie nad własnym grobem i sobie tylko znaną drogą przesłał go do Sądu Najwyższego. Bezczelność Piskorza była tak ogromna, że przekroczyła o kilka stopni wyobraźnię pracowników tej najpoważniejszej w naszym kraju instytucji i faktycznie otwarła mu bramy więzienia. Czyn ten można jedynie porównać ze skokiem Piskorza w paszczę wieloryba. Widocznie Piskorz nie za darmo jadł więzienny chleb od najmłodszych lat. Nie był egoistą, myślącym tylko o sobie, wręcz przeciwnie, usposobienie miał altruistyczne. Postąpił jak szlachetny lekarz, który najpierw na sobie sprawdza skuteczność szczepionki i dopiero po osiągnięciu pozytywnych wyników aplikuje ją swoim pacjentom. Piskorz wprawdzie leku na raka nie wymyślił, lecz przypisując sobie tę chorobę, z więzienia się wydostał. Teraz już nic nie stało na przeszkodzie, ażeby metodę wypróbowaną na sobie praktykować na innych. Możliwe, że sporo osób, przebywających za kratkami, wolałoby chodzić na wolności. Piskorz brał to pod uwagę. Zgłosił się na początek do Heleny Góralskiej, kierowniczki sklepu MHM nr 133. Przedstawił się jako kurator sądowy w sprawie jej córki, Ireny. Mąż pani kierowniczki sklepu znajdował się akurat w areszcie, więc Piskorz trafił pod właściwy adres. Przyjęty został serdecznie, a stosunki „służbowe" szybko przemieniły się w stosunki towarzyskie z panią Heleną G. Zaczął coraz częściej bywać w jej prywatnej rezydencji na ulicy Malinowej. Kurator córki otoczył przede wszystkim kuratelą mamę. Stosunki między nimi rozwinęły się do tego stopnia, że zdecydował awansować z kuratora na prokuratora. Na dowód tego zaczął składać wizyty z kajdankami. Przy lada okazji demonstrował je towarzystwu, wykazując bardzo dużo zręczności w posługiwaniu się tym groźnym przedmiotem. Widok kajdanków rzeczywiście rozwiewał wszelkie wątpliwości otoczenia i budził zaufanie do ich właściciela.

Kajdanki to mój codzienny chleb — zapewniał Piskorz i nie był daleki od prawdy. Kiedy znajomość została już na dobre ugruntowana, wtedy postanowił ujawnić się jako sam Szef Prokuratury. Całkiem zrozumiałe, inna jest rozmowa z Szefem niż z jakimś tam podrzędnym prokuratorzyną. Pani Góralskiej zupełnie to stanowisko Piskorza wystarczało, by zwrócić się do niego o pomoc w wydostaniu męża z aresztu. Istnieje prawdopodobieństwo, że gdyby sprawa była trudniejsza, a znajomość z panią Góralską trwała dłużej, Piskorz nie zawahałby się zostać nawet samym Prokuratorem Generalnym. Nie było to jednak konieczne, więc w swej bezczelności zatrzymał się na granicy Szefa Prokuratury Wojewódzkiej.

Góralska dostarczyła mu danych personalnych męża, podała numer sprawy sądowej i Szef wziął się do roboty. O pieniądzach, które od niej przy tej okazji wziął, nie będziemy wspominać, gdyż są to rzeczy przyziemne i mało ważne. Sąsiadki co prawda, które były świadkami na rozprawie, ośmieliły się twierdzić, że Góralska w złości wypominała mężowi, iż musiała za niego zapłacić aż siedemdziesiąt tysięcy złotych, żeby go z mamra wydostać, czego zresztą bardzo teraz żałuje, ale czyż można dać wiarę rozeźlonej kobiecie? Na pewno przesadzała. Albo sąsiadki się przesłyszały. Sama Góralska oświadczyła, że Piskorz zrobił to na jej piękne oczy, czyli dla idei. Taki już był z natury dobry dla ludzi. Powiedział, że jak będzie w potrzebie, to się zgłosi do sklepu MHM nr 133. Tymczasem pieniędzmi sobie głowy nie będzie zawracał, ma ważniejsze sprawy na głowie.

Rzeczywiście, zabrał się do wypełniania formularza orzeczenia lekarskiego, w którym podał, że u Zygmunta Góralskiego znajduje się „Na błonie kory mózgowej przy prawym boku kory mózgowej wrzód złośliwie atakujący — następstwo po uderzeniu i odbiciu głowy. Noga prawa — bezwład, od biodra do kończyny dolnej. Rozpoznanie psychiatryczne wykazało zagrożenie wylewu krwi na błonę mózgową".

Jednocześnie niezapomniany Piskorz sformułował wniosek, że: „Komisja lekarska występuje z wnioskiem o uchylenie aresztu na zły stan zdrowia, dalszy pobyt w więzieniu zagraża życiu"

Pod tym orzeczeniem umieścił nazwiska dwóch znanych łódzkich lekarzy, w imieniu których sam złożył podpisy. Nieczytelne. Biorąc pod uwagę jego wykształcenie — nie należy się temu dziwić.

Ażeby dokument nabrał wszelkich cech autentyzmu Piskorz złożył na nim pieczęć z orłem. Koszt pieczęci był stosunkowo niski, wynosił zaledwie pięć złotych, ponieważ Piskorz posłużył się 5-złotówką. Do orzeczenia dołączył pismo przewodnie, wystawione w imieniu Centralnego Więzienia w Łodzi nr 3. Na piśmie tym przy pomocy dziecięcej drukarenki kupionej za sto złotych w sklepie z zabawkami, odbił pieczątkę podłużną więzienia i postawił jeszcze jeden nieczytelny podpis w imieniu „Kierownika Administracji".

Spreparowane w ten sposób dokumenty przesłał pocztą (!) do sądu i Zygmunta Góralskiego zwolniono do domu.

Nie muszę chyba dodawać, że po tej operacji akcje Piskorza niepomiernie wzrosły w środowisku ludzi z branży „mięsnej". Góralska natychmiast skontaktowała go z niejakim Tadeuszem Błaszczykiem, magazynierem Spółdzielni „Wędliniarz", którego siostra, Stanisława Błaszczyk, była ekspedientka MHM, siedziała za nadużycia dokonane z kolei w branży sprzętu gospodarstwa domowego. Piskorz i tą sprawą zajął się gorliwie, acz nie bezinteresownie. Tym razem jednak tak gładko nie poszło, albowiem orzeczenie lekarskie sprokurowane przez Piskorza znaną już nam techniką, wzbudziło w sądzie pewne zastrzeżenia. Piskorz się tym zbytnio nie przejął (wiadomo, jakie to nasza biurokracja rzuca kłody pod nogi porządnym ludziom), gdyż oto dwaj bracia przyrodni Góralskiej nowego już klienta mu naraili.

Roch Ciepluch siedział w więzieniu i nie był od tego, żeby się stamtąd wydostać. Wszechmocny Piskorz w ciągu kilkunastu dni dokonał tego, czego najlepsi adwokaci łódzcy przed sądem nie potrafili i pan Roch wyszedł na wolność. W drugi dzień świąt Wielkiejnocy wydał z tej okazji huczny bankiet na cześć znakomitego Piskorza. Jednakże w trakcie uczty Ciepluch nie omieszkał wytknąć Piskorzowi, że Pan Prokurator coś za drogo sobie policzył.

W niedługi czas potem krótkotrwała, lecz owocna działalność Piskorza została brutalnie przerwana przez organa MO. Schwytano go w Grotnikach, gdzie przebywał jako inspektor nadleśnictwa. Wśród przedmiotów i dokumentów, jakie przy nim znaleziono, jedyną rzeczą autentyczną był sam Piskorz.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PASAŻ w środku MIASTA

Stary człowiek i kot. Człowiek siada na ławce i godzinami czeka na zjawienie się kota. Zwierzę jest pręgowane, chude i brudne. Przychodzi, kiedy chce. Dumnie kroczy koło ludzi odpoczywających na ławkach i szuka starego człowieka. Wie, że on zawsze przynosi coś dla niego, ale udaje brak zainteresowania. Zjada spokojnie wyłożonego na papierze wędzonego śledzia w pobliżu ławki i wylizawszy się starannie, odchodzi. Nie pozwala się głaskać.

Człowiek jest bardzo samotny. Kiedyś miał psa, zwykłego kundla. Bardzo do siebie przywykli. Ale pies zdechł ze starości. Człowiek miał wtedy pracę. Nie myślał o drugim psie. Był jeszcze potrzebny innym, pracował. Emeryturę przyjął normalnie. To musiało przyjść — powiedział sobie. Dostał pół etatu i by zadowolony. Teraz nie ma już i tego. Jest zupełnie sam i przychodzi tu, aby być wśród ludzi, aby popatrzeć na wędrówki kota, który nie jest wprawdzie jego, ale obaj wiedzą, że spotkają się tutaj każdego pogodnego dnia.

Fragment Piotrkowskiej, z jednej strony zamknięty ulicami Narutowicza i Zieloną, a z drugiej — Tuwima i Andrzeja Struga jest niewątpliwie środkiem śródmieścia. Tutaj na wprost sklepu „Telimeny" leży pasaż z fontanną, w której spiżowe ciało dziewczyny palone w dzień promieniami słońca łaknie wody. Pasaż nazwano Aleją ZMP. Zaraz za fontanną przechodzi w mini-park, z jedną mini-alejką.

Z brzegu siadają grupami na ławkach młodzi oraz przypadkowi przechodnie. Młodzi mają dużo czasu, a na dodatek stąd wszędzie blisko. Do Klubu Studenta, Klubu ŁKS i Polskiego Związku Motorowego, „Grand Hotelu", „Honoratki", sklepu z winem i piwem i „Delikatesów".

W głębi pasażu siadają ludzie starsi. Galeria typów przebogata. Panowie z sumiastymi wąsami i twarzami pociętymi zmarszczkami. Panie o włosach wybielonych siwizną. Grzeją w słońcu zreumatyzmowane nogi. Wspominają dawne czasy. Rzadko mówią o śmierci.

— I patrz pan, zmarło się Marychnie.

— Ano, zmarło, bo już i lata miała swoje.

— Na uwiąd starczy biedaczka zmarła, a to rzadka śmierć, powoli przychodzi. Lepiej umrzeć od razu, nagle.

— Oj, nie mów pani tak, bo jak słucham to w piersiach robi mi się gorąco i do góry idzie, do głowy.

Chwilę milczą. Starszy pan z dezaprobatą patrzy na parę młodych, którzy idą wolno pasażem w pół objęci, przytuleni.

— Młodych to nie razi — mówi, żeby zmienić temat. — Ale to bezwstyd tak gzić się publicznie.

Młode pary lokują się w środkowej części pasażu. Nie nęci ich cień mini-parku, gdzie na uboczu stoją trzy ławki. Całują się w pełnym świetle dnia, przy wieczornym zmierzchu i w cieniu nocy rozjaśnionej elektrycznymi lampami. Usiądą, przytulą się, a ty od razu wiesz, czy dawno już są ze sobą, czy dopiero zaczynają. Na pasażu przez cały dzień nie ma dzieci. Nie uznały pasażu za oazę zieleni, za miejsce zabaw. Może to i lepiej.

Prawdziwe życie zaczyna się tu po południu. Jedni robią sobie przerwę w poobiedniej przechadzce. Inni przychodzą na spotkanie ze znajomymi, przynoszą szachy i długo namyślają się nad każdym ruchem. Popołudnie — początek letnich wędrówek „w Polskę". W pobliskim sklepie można kupić tanie wino, czasem piwo. Na coś mocniejszego jeszcze zbyt wcześnie.

Przysiadłem pod kasztanem, aby trochę poczytać. Reszta ławki pusta, ale tylko przez chwilę. Usiadło ich dwóch. Jeden starszy o ponurym wyrazie twarzy i drugi młody o jasnych oczach w pucołowatej twarzy. Między sobą postawili teczkę.

— Wyciągaj — powiedział Ponury.

— Chwileczkę — uspokaja młodszy, wyjmuje paczkę sportów i patrzy na moje gazety.

— Zapali pan?

Chwilę zastanawiam się.

— Zapalę.

— Pan ormowiec?

— Nie, a dlaczego?

— Tak pytam.

Wyciąga z teczki butelkę cienkusza. Zaczyna mocować się z korkiem. Z ławki po drugiej stronie, gdzie siedzi grupa chłopaków z tranzystorem ktoś pyta:

— Może korkociąg pożyczyć?

Nie reagują.

— Napije się pan z nami? — młodszy podsuwa otwartą już butelkę.

— Dziękuję, nie piję.

— A co, chory pan?

— Zgadł pan, wątroba — wymyślam pretekst.

— Zupełnie jak u mego brata — podnosi butelkę do ust i pije dość długo, a później oddaje Ponuremu.

— Pewnie kiedyś lubił pan dobrze zjeść i wypić. Tak jak mój brat. A wie pan kim jest mój brat?

Nie wiem i dlatego milczę. Nie muszę mówić. To nie jest jego pierwsze wino. A i upał robi swoje. Będzie mówił bez mojej zachęty. Wystarczy, że słucham.

A MOŻE BY DO SULEJOWA?

Dalszy ciąg ze str. 1

mitetu Wojewódzkiego w Kielcach. Mają też być wiceministrowie, istny najazd...

Jadąc do Smardzewic, rozmyślałem o Tomaszowskich Zakładach Włókien Sztucznych. Sam Tomaszów wita przybyszów widocznymi z odległości kilkunastu kilometrów niebotycznymi doprawdy kominami. Cóż to za giganty. Zdają się czesać chmury. Miały wyrzucać trujące opary fabryczne w wielkim rozrzedzeniu na wielką też odległość. Zamysł był dobry. Jednak chybił. Spała jako ośrodek wczasowo-wypoczynkowy przestała się już liczyć. Została, ubita, albo kto woli, po cichu zamordowana przez tomaszowką fabrykę. Kominy zawiodły. Gdy w powietrzu wilgoć, siarkowe smrody opadają wprost na spalską puszczę. Zaduch taki, że trzeba nos zatykać. Korony spalskich drzew są nisko po spuszczane. Świerki skarłowaciały, dęby są niskie, topole nie wyrosły. Ruina. Mord. Reszty dopełniły fabryczne ścieki. Wybiły w Pilicy wszystko co żyło i co się poruszało. Gdzie zaś ryb nie ma, tam nie ma też miejsca dla człowieka.

Inżynierowie z „Hydrobudowy" to ludzie młodzi. „Wodziarze" o dużym już doświadczeniu, orientują się też wybornie w aktualnym dyktacie ekonomiki. Usłyszałem:

— Samo jezioro obniżymy o półtora metra, żeby było o 30 milionów taniej.

— Jakże, znów półśrodki?

— Nie, to oszczędności. Będzie też jeden kanał do Łodzi a nie dwa jak początkowo planowano. Jezioro trzeba by bagrować, to by kosztowało 250 milionów, więc odłoży się i tę sprawę do lepszych czasów. Najważniejsze, że wody dla Łodzi starczy do 1985 roku, bo jezioro bądź co bądź, będzie mieć 17 kilometrów długości i 2 kilometry szerokości.

— Ile będzie kosztować sama zapora?

— W przybliżeniu 760 milionów. W lipcu 1973 roku zaczniemy Pilicę spiętrzać. W następnym roku woda ze sztucznego jeziora dopłynie już do Łodzi.

Gdzie wielka budowa tam i pejzaż frapujący.

Po leśnych duktach wyją nad Pilicą buldożery, przekopują się koparki, łażą, ciężarówki, dowożąc na zaporę 520.000 m sześć. piasku z odległości paru kilometrów. Zapora przetnie dolinę Pilicy i spiętrzy wodę do wysokości 6-piętrowego budynku. A dolina w tym miejscu wąska nie jest. Ma półtora kilometra. Po nadpilicznych lasach chodzą już spychacze, jeżdżą samochody po drogach ułożonych prowizorycznie z betonowych płyt. Słychać też poświst automatycznych pił. Takiej rzezi starego drzewostanu w dziejach Polski ponoć jeszcze nie notowano. Prace nabierają wszak rozpędu. Pod siekierę idzie 1400 hektarów po części pierwotnego boru.

Fot. P. Jaskow

Ogromna jest smardzewicka puszcza.

Może dlatego tutaj właśnie usytuowano wielki rezerwat żubrów. Niedaleko stąd biją na drugim brzegu Pilicy dziewiczo czyste Niebieskie Źródła. Woda z nich daje ponoć mężom siły Herkulesa. Ziemia jest pofałdowana. Pełno tu urwisk, wąwozów, zapadlisk i parowów. Widomy znak, że lodowiec szalał tu jak nigdzie w województwie. Bory, żubry, jelenie i srebrzysta woda w jeziorze. Jeszcze wspaniałe jaskinie w Nagórzycach, jeszcze romańskie opactwo cystersów w Podklasztorzu, zabytek światowej, zerowej klasy. I wszystko to znajdzie się po obu brzegach łódzkiego Balatonu w zasięgu małej łódki.

W samym środku zbitych borów, które idą nieprzerwanym pasmem wzdłuż Pilicy aż do Nowego Miasta, błyśnie tafla jeziora. Będzie większe od historycznego Gopła. Wilegiatura nad leśnym jeziorem. Czy znajdzie się siła, która zdoła powstrzymać napór łodzian na Sulejów i Smardzewice? Może w końcu pod presją zwykłych potrzeb współczesnego człowieka minister wyjmie choć jednego węża z kieszeni? Jak długo łodzianie mają się pętać tylko po Kolumnie, Tuszynie i po Grotnikach?

Będzie konflikt czy go nie będzie?

Miałem go znaleźć w Swolszowicach.

Sromotnie się zawiodłem. Wyszły z tego nici.

Swolszowice-Błota nie na błotach leżą tylko na sinych piaskach nadrzecznych. Pusta, na pół martwa wioszczyna. Choćbyś rzucał w glebę tony saletrzaku, choćbyś na skiby dmuchał i chuchał jak na grządki w ksawerowskich ogródkach, nic tu nie wskórasz. Pszenica i tak uschnie albo się wyrodzi. Na sypkim piachu marne żytko kołysze się tylko na wietrze i liche ziemniaki ledwo odrastają od ziemi. Szkoda trudu i fatygi. Co za wieś. Ni drogi, ni światła, ni telefonu. Drewniane tylko chałupinki powrastane w ziemię już po okna.

Więc jakże, pora zwijać manatki?

Błądzę po tej wiosce i wszędzie słyszę w odpowiedzi:

— Choćby dzisiaj, niech to diabli porwą, mordęga do siódmego potu a życia żadnego.

Dowiaduję się, że młodzi od dawna już pracują w Tomaszowie. Wypięli się na rolę i nie chcą o pługu ani słyszeć. A co starsi już wiekiem? Nic wielkiego, rząd przecież nikogo nie skrzywdzi, da odszkodowanie, a jak kto sobie zażyczy, może dostać grunty w innych stronach. Nie ma obawy. Rolnik jest dziś w poważaniu. Nie zginie. Produkcja jest potrzebna, eksport goni, a chętnych do krowiego ogona tak za wielu to już nie ma... Jeden tylko Józef Robak ma złe przeczucia. Zadowolony nie jest. Wolałby już zostać gdzie jest. To już starzec. Idzie mu na osiemdziesiątkę. Żona też niewiele młodsza. To nic, że las napiera na ich domostwo z czterech stron świata. To nic, że mają wszystkiego dwa hektary piachów. To nic, że dziki tratują zimą kartofle. Robak ma inne zmartwienia. Jeszcze przed trzema laty siły miał galante, a dziś nóg nie ma, rąk nie czuje, a dechu też brakuje. Dokąd ma się zwrócić na swe stare lata? Gdzie ma dożyć swych dni? A może zanim woda podejdzie z Pilicy i zatopi całą wioskę, może oni, Robakowie, zdążą się jeszcze przenieść do bliskich, co leżą na cmentarzu w pobliskim Wolborzu?

Robak macha wreszcie ręką, co będzie to będzie, jak przyjdzie ten czas to człowiek się położy i umrze.

Myśli kto, że inżynierowie z „Hydrobudowy" to już mają lekkie życie usłane z samych tylko premii, orderów i odznaczeń? Ba, zalew też pełen jest zawsze niespodzianek. Piętrzyć rzekę to również rodzaj loterii. Sulejowskie jezioro kryje niejedną tajemnicę. Wyjawi je dopiero w ostatniej chwili. Tylko, że wtedy może już być za późno, a nikt ani myśli ryzykować miliardami. Zalew ma piaszczysty grunt, pod którym rozciągają się straszliwie spękane skały. Jak 15-metrowy słup wody zacznie cisnąć na szczeliny, to może je rozłupać na drobny mak i przebić na wylot. To już by była katastrofa. Woda mogłaby uciec na boki, mogłaby podmyć samą zaporę. Wyobrazić sobie trudno jaki to byłby cios.

W Smardzewicach zastosuje się kilka nowych technicznych kruczków. Inżynierowie wyrażają się o tym tylko półgębkiem. Coś tam mówią o glinianym płaszczu, o betonowej nawierzchni, o fartuchu z folii na samym już dnie jeziora. Ale lepiej nie pytać za wiele, bo usłyszy się taką lawinę technicznych sformułowań, że mętlik tylko z tego zostanie i laik do reszty zbaranieje. W Smardzewicach idzie wielka gra. Toteż stawka jest też wielka. Coś mi się jednak zdaje, że do herbu z dziwaczną łódką, zawieszoną w próżni, trzeba by dorysować jezioro. Łódź wreszcie drgnie. Będzie już miała po czym pływać.

JAN BĄBIŃSKI

POLONICA

O. J. TAUSCHIŃSKI LAUREATEM NAGRODY PAŃSTWOWEJ

Znany pisarz wiedeński, O. J. Tauschinski (por. „Odgłosy" nr 2) wydał w roku ubiegłym zbiór bajek polskich pt. „Der Jüngling im Baumstamm". Książka ta spotkała się z bardzo żywym przyjęciem. Jej autor otrzymał już za nią nagrodę literacką Wiednia, a ostatniego czerwca br. wręczono mu austriacką nagrodę państwową w dowód uznania za literackie i dydaktyczne walory wyboru polskich bajek.

O. J. Tauschinski, znany także jako tłumacz z literatury polskiej, ukończył ostatnio także przekład książki Domagalika „Koniec wakacji". W przekładzie na język niemiecki ukaże się ona w przyszłym roku, w jednym z wydawnictw austriackich.

(er)

SPRAWY POLSKIE W „INOSTRANNOJ LITIERATURIE"

W 6 tegorocznym numerze miesięcznika „Inostrannaja litieratura" znajdujemy szereg poloniców. I tak Ludmiła Urazowa w artykule „Dokumient wremieni" (Dokument czasu) pisze o grafice i malarstwie Bronisława Linkego z okazji wydania w Polsce albumu poświęconego pamięci artysty. Autorka artykułu cytuje fragmenty z przedmowy Marii Dąbrowskiej, a następnie analizuje prace Linkego, oskarżające wojnę i faszyzm. W numerze znajduje się aż siedem reprodukcji szkiców i obrazów Linkego, w tym cztery kolorowe.

W tym samym miesięczniku można przeczytać informację o poemacie Stanisława Grochowiaka „Totentanz in Polen" oraz informację o polskich filmach wojennych, m. in. o filmie Ewy i Czesława Petelskich „Jarzębina", a także o realizowanym dopiero w łódzkim atelier przez Zbigniewa Chmielewskiego filmie pt. „Twarz anioła" (Lik angieła).

jk.

— Jest ważny. Na stanowisku. Jeździ za granicę. Ja tam do niego często nie chodzę — kapuje pan — ale czasem mnie zaprasza. W kredensie ma pełno butelek za granicznych. Częstuje, ale sam nie pije.

— Pijesz? — pyta Ponury i patrzy na mnie z dezaprobatą. — Co mu gitarę zawracasz? Pij.

Znów butelka wędruje do ust.

— Dziwisz się że piję — spoufala się nagle młodszy. — A co mam robić? Mam żonę, ale ona bardzo ważna, gdzieś się włóczy. Studentka. Zachciało się jej być mądrą. W domu pusto, nie ma co do gęby włożyć ani do kogo odezwać się. Dziecko wzięła teściowa.

Ponuremu nie podoba się elokwencja kolegi. Wyciąga drugą butelkę.

— Otwórz!

— Lepiej nie — powiadam — i pokazuję głową w kierunku Al. Kościuszki, gdzie wolno podjeżdża milicyjna „warszawa".

Komuś nie podobało się zachowanie dwu par, które rozsiadły się na ławce ukrytej w wątłym krzaku. Milicjant podchodzi do siedzących i każe im wysunąć ławkę. Wymiana zdań przechodzi w szarpaninę i po chwili oporny młodzian wędruje pod eskortą w kierunku samochodu. Nagle wyrywa się i ucieka. Niedaleko, bo podjeżdża druga „warszawa". Chłopaka łapią i od razu zbiera się tłum gapiów.

Tymczasem dziewczyny i drugi chłopak ulatniają się. Ludzie biorą chłopaka w obronę, padają niepotrzebne słowa o sprawiedliwości i praworządności.

— I po co ten krzyk — powiada mężczyzna, którego zdenerwowało zachowanie się gapiów. — Nie widziała pani wszystkiego od początku, to co się pani mądrzy. Powinni mu dobrze przyłożyć. Co się gówniarz będzie stawiał milicji.

Wracam na ławkę.

— Pójdziemy na kielicha? — zaprasza młodszy.

— Dziękuję, nie piję.

— Z nami to on się nie napije — powiada Ponury — co będziesz prosił ważniaka.

Zapada zmierzch, „Pod Siódemkami" hałasuje zespół beatowy. W pasażu siedzą obok siebie grupki młodych, którym nie udało się wejść do studenckiego klubu. Starsi, którym nie śpieszy się do domów, i panie przygotowujące się na długie spacery od „Grand Hotelu" do Narutowicza i od Narutowicza do „Grand Hotelu". Zjawiają się pierwsi klienci. Zza białej koszuli na brąz opalony młodzian wyjmuje pół litra „strażackiej", panie uśmiechają się, jeszcze tylko krótka licytacja i odchodzą w sobie znanym kierunku.

Nadchodzi noc. Pasaż powoli pustoszeje. Gdzieś w głębi pozostały mocno przytulone pary. Na krótki odpoczynek przysiadły prostytutki, aby zaraz dalej podjąć niekończący się spacer. Na papierosa zatrzyma się przechodzień, któremu nie udał się wieczór. Czasami dłużej niż zwykle posiedzi stary człowiek. Nie czeka na kota. Po prostu chce przedłużyć swój całodzienny pobyt wśród ludzi. Ale ludzi coraz mniej. Więc podnosi się z rezygnacją i idzie do pustego pokoju, w którym nikt na niego nie czeka.

Czas na mnie. Ale nie wstaję z ławki. Patrzę na niskiego mężczyznę w jasnobrązowym garniturze, który nerwowo spaceruje między ławkami. Na chwilę przysiada, aby znów poderwać się i pójść w stronę Al. Kościuszki. Idzie na spotkanie kobiety, niosącej śpiące dziecko na ręku. Podchodzi do niej i wyciąga ręce. Dziecko budzi się i zaczyna płakać.

— Nie dam! — krzyczy kobieta. — Ratunku!

Mężczyzna coś do niej mówi, potem odwraca się i odchodzi.

— Masz żonę — krzyczy za nim kobieta — to zrób jej dziecko. Mojego ci nie dam.

Mężczyzna siada na sąsiedniej ławce, zapala papierosa.

— Mojego, mojego — mruczy. — A bo to tylko jej?

Wstaje i szybko odchodzi.

Czas już i na mnie.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

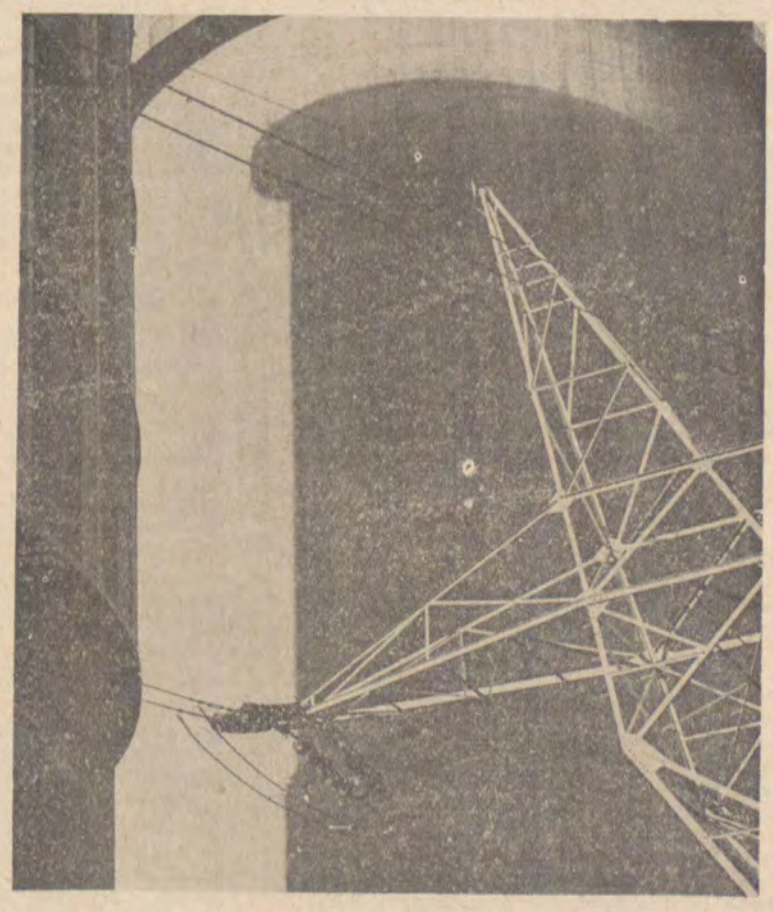

ZYGMUNT FIJAS

Gdy baronetowi palić się chce

(Groteska dla niepoważnych palaczy tytoniu)

Jonathan Colgate, doszczętnie zrujnowany posiadacz tytułu baroneta, otrzymanego w podarunku od cesarzowej Wszechindii, siedział na ławeczce przy czwartej rynnie Opactwa Westminsterskiego i zastanawiał się, skąd bu tu wytrzasnąć pieniądze na paczkę cygar. Albowiem palić mu się chciało jak wściekłemu psu. Zapaliłby nawet w zwijce z Timesa trochę tytoniu fajkowego. Obojętne jakiej marki. Mógłby to być nawet Prince Albert Smoking Tobacco, Murrays Erinmore Flake, bolszewicka importowana Panda, Washington, czy inne jakieś świństwo.

Napisaliśmy ,palić mu się chciało jak wściekłemu psu", chociaż psom cierpiącym na wodowstręt wcale nie chce się palić. Ale w tej opowiastce może nie obowiązywać ani siła ciążenia, ani tak zwana podręcznikowa logika. Możemy przeto śmiało powiedzieć:

Jonathan Cucumber Colgate siedział przy czwartej rynnie Westminster Abbey, albowiem palić mu się chciało jak starej krowie, gdy spoza narożnika wysunął się długonogi blondyn z kruczoczarną brodą i wyciągnąwszy rewolwer, wykrzyknął:

— Pieniądze, miłość i życie dla tego, kto te rzeczy ma w cenie!

— Albo śmierć i zapomnienie dla tego, kto pieniędzy, miłości i życia nie poważa!

Baronet nie zaskoczony tym rozbojem na gładkiej drodze, odparł flegmatycznie:

— Pieniędzy ci dać nie mogę, mężczyzno, o nie najwybredniejszych manierach. Nie śmierdzę przecież ani pensem. Miłości też ci zaofiarować nie mogę. Wszak jestem człowiekiem płci męskiej... Nawet nie mogę cię poczęstować cygarem... Bierz moje życie! Ono w tej chwili tyle warte, co nic. Nawet ułomka cygara nie posiadam... Ale czy wolno mi zapytać, brutalny blondynie o kruczej brodzie, kim jesteś?

Kruczobrody blondyn, zdetonowany zimną krwią terroryzowanego, odparł:

— Jestem agentem matrymonialnym biura Marriage Council Inteligence Service. Od kilku dni poluję na ciebie. Dwa lata temu pytałem ciebie o drugi tom „Historii naturalnej" Pliniusza. Było to na schodach Britisch Museum. Ucharakteryzowany byłem na zawoalowaną dziewczynę palącą fajkę. Rok temu byłem ukryty pod ławką, na której spożywałeś parówki po amerykańsku.

— Hot dogs! — uśmiechnął się nie bez ironii Colgate. — Stany Zjednoczone, aczkolwiek ani formalnie, ani realnie nie jesteśmy ich kolonią lub stanem, zarzucają nas od dłuższego czasu swymi śmieciami konsumpcyjnymi. Jak dzikusów świecidełkami. A sami są gorszymi dzikusami od nas... Jest to jeden z objawów ich imperializmu. O głównym się nie mówi, bo albo on się uda, albo nie. Więc?

— Co „więc"?

— Jak byłeś ucharakteryzowany, gdy jadłem te hot dogs?

— Wtedy, gdy jadłeś parówki, byłem ucharakteryzowany na ogrodnika podcinającego tuje. Już od trzech lat chodzę ci po piętach, baronecie. Uważam bowiem, że będziesz doskonałą partią dla lady of His masters voice.

Lady of His masters voice? Czy istnieje arystokratka o takim gramofonowym nazwisku? Gdyby przetłumaczyć his masters voice na język ojczysty Joyce'a, Shawa i Becketta, to by te słowa znaczyły: głos jego pana. A Głos jego pana po angielsku to nazwa firmy wytwarzającej maszyny, które są pochodnymi fonogramów... Ale raz mówisz: dwa lata temu, drugi raz: od trzech lat, trzeci: od kilku dni poluję na ciebie. Coś w twym umyśle nie jest all right.

— Nie traćmy czasu na pytania: czy all rights reserved, czy tylko one right. Jesteś amatorem cygar, palić się chce, możesz stać się jedynym poważnym kandydatem na właściciela ciężkich pieniędzy i rozległych latyfundiów, a ty baronecie Colgate-Cucumber, do kroć stu tysięcy baryłek tytoniu fajkowego Marki Prince Albert Smoking Tobacco, lub Erinmore Flake Made in Northern Ireland by Murrays Sons et Company bawisz się w doszukiwanie powiązań logicznych... Czy mam ci pięć razy wbijać w głowę, co wystarczy powiedzieć raz?... Kasy lady Hismastersvoice stoją dla ciebie otworem. Ta poważna pani jest nadziana nie tylko latyfundiami, ale drogocennymi klejnotami i ruchomościami malarskimi dobrej marki. — Tu rufian matrymonialny dmuchnął w nos baronetowi dymem papierosa, rzucił niedopałek na ziemię, dokładnie rozdeptał, po czym wpakował sobie w usta potężną porcję wybornej, holenderskiej prymki.

Baronet wciągnął w nozdrza zapach tytoniowego dymu. W oczach mu się zamgliło. Albowiem palić mu się chciało jak staremu diabłu.

— Mógłbym się zacząć zastanawiać nad tą mefistofeliczną propozycją — rzekł po chwili. — Ale w jakimże wieku jest ta szacowna dama? Jeśli tyle wartości ponderabilnych dodaje swej osobie, to ile lat sobie liczy? Lub prościej mówiąc: ile lat wyliczy ją? Siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt cztery, pięćdziesiąt dziewięć?

— Pytasz, baronecie, o wiek kobiety jak o wiek konia. Nie ilość zębów liczy się w prawdziwej miłości i nie czas, chociażby to nawet była miłość do nieruchomości i dóbr ruchomych. W prawdziwej miłości czas nie istnieje. I przestrzeń też nie ma żadnego znaczenia. Komu się palić chce, ten nie stawia niedorzecznych pytań.

Baronet zmienił postawę siedzącą na stojącą.

— Nie handluję swoją osobą — powiedział, wypinając dumnie pierś jak margrabina Pompadour. — Chociażbym tak podupadł, że musiałbym wybierać niedopałki ze śmietnika, to moja postawa moralna będzie zawsze ta sama. Albionu synem jestem,

— Albion Albionem, a papierosy papierosami — rzekł matrymonialny kupler. — Spróbujmy wsiąść w subway, a potem pozwólmy się podrzucić poszóstnej karocy do majętności lady.

Matrymonialny stręczyciel spojrzał na swój chronometr, puknięciem otwarł jego kopertę, po czym wypluwszy prymkę, dodał:

— Mamy tylko dwadzieścią pięć minut. Jeśli w ciągu tego czasu nie zdążysz, sire, uporać się ze skrupułami, palnę ci po prostu w łeb. Albo otrzymam sutą prowizję, albo nie będziesz żył.

Baronet odepchnął wycelowaną w niego lufę.

— Schowaj ten komin, agencie matrymonialny. Życie nie przedstawia w tej chwili żadnej wartości. Muszę przecież dowiedzieć się, w jakim stanie fizycznego spustoszenia znajdują się wdzięki tej lady. Wszak może ona mieć jeden brak wyższy od drugiego i podrzucać nim przy byle okazji, jak Demostenes. Ale gdyby ona nawet tyle znaczyła, co ów dzielny obrońca greckiej ojczyzny, a wróg tego koronowanego żołdaka, macedońskiego Filipa, męża Olimpii, zaś ojca Aleksandra, to milsza mi erotyczna niezależność, niż katorga przy starszej, chociaż bogatej kalece.

Stręczyciel matrymonialny oderwał brodę szarpnięciem. Złożył ją w czworo, wetknął w kopertę. To samo uczynił ze swymi blond włosami.

— Nie bawmy się w ciuciubabkę. Grajmy w otwarte karty. Moje prawdziwe nazwisko, Issac Noiron. Życie znam lepiej od własnej kieszeni. Zanim stałem się rzeczywistym faktorem matrymonialnym, byłem dostawcą heroiny, opium, marihuany. Handlowałem także wyciągami z meksykańskich grzybów. W czasie odsiadywania kary w więzieniu widziałem palaczy, co ręce im drżały, gdy patrzyli przez kratę na dozorcę palącego tytoń. Głodomorów, co na widok człowieka, zjadającego kostkę chleba, klapali zębami jak kot, gdy ujrzy za szybą żywego wróbla. Norkomanów, co wygryzali dziury w spodniach, gdy spadła na nie kropla eteru. Palić się panu chce, baronecie, jak stu diabłom, a trzymasz się linii jak parostatek kursu. Zatem jesteś człowiekiem honoru, przetrzymałeś próbę. Jeśli okazałeś się tak mocnym to wiedz, że zarówno majątek jak i rodowe klejnoty, pamiętające czasy wypraw krzyżowych, kolekcję obrazów, pałac ze wspaniałymi apartamentami, zaopatrzonymi w bidety dla kilku osób, wanny z zimną, ciepłą wodą i osobnymi kurkami na wodę letnią lady zapisała swej pokojówce, Cathleen Fishbin.

— Fiszbin to dawny wielorybi sztywnik do sukien. Albo tak zwany ząb wieloryba. Czy istnieją istoty o takich wielorybich nazwiskach?

— Rozumienie istnienia i związków zachodzących pomiędzy jego elementami nie jest najistotniejszą potrzebą człowieka. Wielu ludzi bierze życie na wiarę, lub też wcale się nad tym nie zastanawia, co jest treścią życia, jego realną, nie nominalną i dlatego długo i szczęśliwie, ta wielość ludzka żyje. Najważniejsze dla nas jest to, że majątek zapisany został panie Cathleen Fishbin, całą zaś satysfakcją lady będzie sycenie oczu widokiem waszego cichego szczęścia.

— Dlaczego szczęście ma być ciche, skoro jest bogate? — zaperzył się baronet. — Jeśli szczęście jest wielkie, to musi być głośne. Tym głośniejsze, im silniejsze są zawiści ludzkie.

Isaac Noiron oświadczył:

— Tylko zaprzysięgli durnie, wlokący za sobą swą małostkowość i prowincjonalizm, jak więzień żelazną kulę, przydają swemu powodzeniu kurzy wrzask i huk swych pierśi pawiana, uderzanych małpimi pięściami. Wasze szczęście winno być dyskretnie pełne.

— Ale Cathleen Fishbin to przecież pokojówka. A więc służąca. Ja zaś jestem baronetem. Cesarzowa Wszechindii nie po to obdarowała mnie tytułem, bym popełniał mezalians.

Alfons matrymonialny, by rozwścieczyć baroneta, któremu chciało się palić, jak wściekłemu smokowi, wrzucił do Tamizy paczkę wybornych cygar. Potem wetknął sobie w nos szczyptę tabaki, kichnął, by powiedzieć:

— Gdyby książę Walii robił sobie coś z pojęcia mezaliansu, toby pani Simpson nigdy nie została jego żoną. Swoistego rodzaju służącą przecież była, najpierw dama francuskiego dworu, później żona Johna Trzeciego Sobieskiego, Mary. Ta poczciwa głuptula, o której chyba mówią wierszyki całego świata, poświęcone głupim Marysieńkom. A na pewno mówi o niej ten wierszyk z czytanki angielskiej:

Mary had a litle lamb,
his wool was white how snow,
and everywhere that Mary went
the lamb was sure to go.

A carski kamenjunkier, czyli młodszy szambelan dworu, to wszakże też służący. Molier zaś, drogi baronecie, był tylko zwyczajnym tytularnym królewskim tapicerem.

— Ale Cathleen Fishbin, chociaż jej imię przypomina kwiat catlei, wąchany, już nie pomnę przez którą namiętną bohaterkę powieści — monstre Prousta, nie jest wdową po królu Johnie Sobieskim, córką Moliera, pokojową cara, lecz służebnicą lady. Mam więc zanieczyszczać błękitną krew mojego ewentualnego potomstwa?

— Spokojnie, baronecie. O niebieskiej krwi nie mówimy. Niebieską krew mają także głowonogi, homar, rak rzeczny, ślimak winniczek dzięki obecności w niej chromoproteidu hemocyjaniny. Zaś co do twej osoby, to kiedy cesarzowa Wszechindii zrobiła cię baronetem? Wtedy, gdy Indie należały jeszcze do Korony Brytyjskiej. A dziś co mamy? Rządy Labour Party, kolorową telewizję, podróże międzyplanetarne. Myślę jednak, że komu chce się palić ten nie może pozwalać sobie na marnotrawienie okazji. Wsiadajmy w subway, zadzwońmy do lady. Niech przyślą herbową karetę zaprzężoną w szóstkę zarejestrowanych volblutów. Tempus agit! Times is money.

To powiedziawszy, faktor matrymonialny podsunął pod nos baroneta wspaniałe cygarko, czym tak swą ofiarę podochocił, że pozwoliła ona wepchnąć się do wagonu kolejki podziemnej, a następnie umieścić w ogromnej karecie, jak cielę w rzeźnickim furgonie.

Zanim baronet wjechał na gazon, już lady ucóreczniła swą pupilkę. Potem w obecności swych dostojnych krewniaków, kawalerów maltańskich: lorda Naramiennika of Patterley, księcia Pimbalce, margrabiego Northumberland, kniazia of Zmudź, tytularnego agi Kurlandii, lorda of Smokingroom, palladyna Rogera oraz jakiegoś pociotka bez żadnych tytułów, udekorowanego natomiast od stóp do głów orderami, wręczyła baronetowi klucze od kas, safesów, numery konta w bankach szwajcarskich, po czym, na dany przez pastora znak, Cathleen Fishbin of Hismastersvoice, z wpiętym w okiść swych mediolańsko blond włosów rajerem fioletowego koloru, w czarnej sukni z morelowymi koronkami, podała baronetowi jedno upragnione cygarko, które on, nie zważając na nakazy etykiety, prędko wypalił, by zaraz wypalić po nim drugie, trzecie i czwarte.

I dopiero po wypisaniu całego tego beletrystycznego bełkotu, po sześciu dniach wstrzymywania się od filtrów, papierosów, autor zrozumiał, że te powyższe polgrywania literackie muszą mieć jakoweś głębsze dno, że prawdopodobnie wołanie komórek o tytoń, nadzieje na większą wygraną w grach liczbowych spowodowały ten słowotok. On sam, jako szanujący się epigon klasycyzującego realizmu, układający wszelkie perypetie werbalne i fabularne w porządku poprawnie logicznym i na chłopski rozum: wzorowo czasoprzestrzennym, nie byłby zdolen, gdyby mu niczego nie brakowało, dokonać takiego shockingu, jak ten o baronecie, któremu palić się chciało jak staremu aligatorowi.

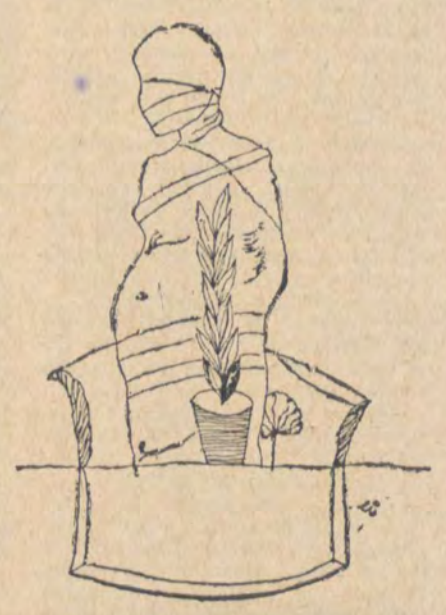

Rys. E. Inglot

ANNA KULIŃSKA

NADZIEJA

Może przyjdziesz jutro
poproszę — zagraj coś Bacha
a potem w nocy jak miło
ze szczęścia będę płakać
I może kwiat mi przyniesiesz
jesiennej róży uśmiech
ach jakże miło będzie
z westchnieniem do niej usnąć.

I ANTINOOS

Łódź na falach leniwie wzdychała
słońce złotem na skórze się kładło
w dłoni lotos przekwitły trzymałeś
i patrzyłeś w zielone zwierciadło
uśmiechając się tkliwie i smutnie
tak jak dzieci uśpione potrafią.

II APOLLO

Naprawdę nie wiem nic o tobie
masz oczy czarne mgliste senne
masz uśmiech złoty smukłe ręce
naprawdę nie wiem nic o tobie

Pod jakim wzywać cię imieniem
do której gwiazdy teraz wzdychać
jaką literę szeptać cicho
pod jakim kochać cię imieniem

A w chwilach trudnych gdzie cię szukać
pod które okno serce zanieść
w którym z księżyców twe mieszkanie
a gdzie cię szukać w chwilach trudnych.

BERT BRECHT

Staruszka bez godności

Gdy dziadek umarł, babcia miała siedemdziesiąt dwa lata. Dziadek był właścicielem zakładu litograficznego w małej mieścinie badeńskiej. Pracował z dwoma, trzema pomocnikami aż do śmierci. Babcia prowadziła gospodarstwo bez służącej, opiekowała się krzywym od starości domem, gotowała strawę dla mężczyzn i dzieciarni.

Była małą szczupłą kobietą o żywych jak u jaszczurki oczach, ale powolnym sposobie mówienia. Nader skromnymi środkami wychowała pięcioro z siedmiorga dzieci, które urodziła. Z tego powodu stawała się z biegiem czasu coraz to mniejsza.

Dwie dziewczyny wyjechały do Ameryki, również dwaj synowie opuścili dom rodzinny. Tylko najmłodszy, słabego zdrowia syn, pozostał w miasteczku. Został drukarzem i założył liczną rodzinę.

I tak po śmierci dziadka, babcia została sama w domu.

Dzieci korespondencyjnie naradzały się, co powinno się z nią uczynić. Jeden z synów mógł ją przyjąć do swego domu, a drukarz chciał się ze swoją rodziną do niej wprowadzić. Jednak staruszka nie przyjęła tych propozycji. Chciała od swoich dzieci li tylko skromnych pieniężnych zapomóg, w miarę ich możliwości. Sprzedaż zakładu litograficznego, od dawna przestarzałego, prawie nic nie dała. Prócz tego trzeba było spłacać długi.

Dzieci pisały do niej, że przecież nie może być zupełnie sama, ale jednak gdy ona nie zmieniła zdania, ustąpiły i przysyłały jej co miesiąc nieco grosza. Ostatecznie — rozumowały — drukarz pozostał w miasteczku.

On też wziął na siebie zawiadamianie rodzeństwa od czasu do czasu, jak się matka miewa. Jego listy do mojego ojca oraz to, czego ojciec dowiedział się podczas odwiedzin w dwa lata po pogrzebie dają mi obraz wydarzeń tych dwóch lat.

Zdaje się, że drukarz był od samego początku rozczarowany, że babcia odmówiła przyjęcia go do jej dość obszernego domu. On zaś mieszkał z czworgiem dzieci w trzech pokojach. Staruszka utrzymywała z nim w ogóle dość luźne stosunki, zapraszała dzieci na kawę w niedzielne popołudnia, to było właściwie wszystko.

Syna odwiedzała raz lub dwa razy na kwartał, i pomagała synowej przy wekowaniu jagód. Młoda kobieta wywnioskowała z niektórych wypowiedzi staruszki, że było jej za ciasno w małym mieszkaniu drukarza. Gdy napisał o tym, nie mógł się powstrzymać od postawienia wykrzyknika.

Na list mojego ojca z zapytaniem, co stara kobieta teraz właściwie porabia, odpowiedział krótko, że chodzi do kina.

Trzeba wiedzieć, że nie był to pospolity fakt, przynajmniej nie w oczach jej dzieci. Wówczas kino nie było jeszcze tym, czym jest dzisiaj. Mieściło się w nędznych, źle wietrzonych pomieszczeniach, nierzadko w starych kręgielniach, z krzykliwymi plakatami u wejścia, wieszczącymi o mordach i tragediach namiętności. Odwiedzały je właściwie tylko wyrostki i pary zakochanych, poszukujące ciemności. Ale samotna stara kobieta rzucała się tam zapewne w oczy.

I trzeba też się zastanowić nad inną stroną tych wypraw do kina. Wstęp był oczywiście tani, ale ponieważ tę przyjemność zaszeregowano mniej więcej po wydatkach na łakocie, oznaczała „wyrzucony pieniądz". A „wyrzucać pieniądze" uważano za coś wręcz nieprzyzwoitego.

Doszło do tego, że babcia nie tylko nie utrzymywała regularnych kontaktów z własnym synem, ale i nie odwiedzała i nie zapraszała nikogo ze swoich znajomych. Nigdy nie brała udziału w kobiecych podwieczorkach przy kawie. Natomiast często odwiedzała warsztat pewnego szewca-łaciarza, mieszkającego w biednej, a nawet o nieco złej sławie uliczce, gdzie szczególnie po południu wysiadywali nie bardzo szacunku godni osobnicy, bezrobotne kelnerki i czeladnicy. Szewc-łaciarz, średniego wieku mężczyzna, przemierzył cały świat, lecz do niczego nie doszedł. Mówiono też, że pije. W każdym razie nie był on odpowiednim towarzystwem dla mojej babci.

W jednym z listów drukarz napomknął, że zwrócił matce na to uwagę, ale otrzymał lodowatą odpowiedź. „Dopatrujesz się nie wiadomo czego" powiedziała i na tym rozmowa się skończyła. Nie było łatwo rozmówić się z babcią w sprawach które wolała pominąć milczeniem.

Mniej więcej pół roku po śmierci dziadka, drukarz napisał do mojego ojca, że matka co drugi dzień jada w gospodzie.

Co za wiadomość! Babcia, która przez całe życie gotowała dla tuzina osób, a sama spożywała tylko resztki, co drugi dzień jadała w restauracji! Co się z nią właściwie stało?

Ojciec, podróżując w interesach, wkrótce po tej wiadomości, przebywał w pobliżu i odwiedził swoją matkę. Zastał ją, gdy szykowała się właśnie do wyjścia, jednak zdjęła swój kapelusik. Poczęstowała ojca szklanką czerwonego wina i sucharkami. Nie była ani podniecona, ani szczególnie małomówna, raczej zrównoważona. Zapytała o nas, chociaż tylko tak sobie i chciała przede wszystkim wiedzieć, czy dzieci dostają czereśnie. W tym była sobą, jak zawsze. Pokój był oczywiście czyściusieńki, a ona wyglądała na zdrową.

Jedyne, co wskazywało na jej nowe życie było to, że nie chciała pójść z moim ojcem na cmentarz, by odwiedzić grób męża. — Możesz tam pójść sam — powiedziała mimochodem — trzeci grób od lewej w jedenastym rzędzie. Ja muszę jeszcze gdzieś wstąpić.

Drukarz wyjaśnił później z goryczą, że spieszyła prawdopodobnie do szewca-łaciarza. Żalił się też:

„Siedzę ze swoimi w tych norach, mam już tylko na pięć godzin roboty, i to źle płatnej, ponadto dokucza mi astma, a dom na głównej ulicy stoi pusty".

Ojciec mój zamieszkał w hotelu, miał jednak nadzieję, że matka zaprosi go do siebie, chociaż tylko dla formy, ale ona nawet nie wspomniała o tym. Tymczasem dawniej, chociaż dom był pełny, zawsze się sprzeciwiała, gdy nie zamieszkał u nich i wydawał pieniądze na hotel.

A teraz, kiedy już niewiele lat życia jej pozostało, skończyła, widać, z życiem rodzinnym i chadzała nowymi drogami. Mój ojciec, który miał poczucie humoru, stwierdził, że babcia jest „dość żwawa" i powiedział stryjowi, by pozwolił starej kobiecie robić co chce.

A czego właściwie chciała?

Następnie doniesiono, że zamówiła brek i w dzień powszedni wyjechała do pewnej miejscowości wycieczkowej. Brek był konnym pojazdem na wysokich kołach i z miejscami dla całych rodzin. Dziadek podczas naszych, wnucząt, wizyt tylko kilka razy wynajął brek. Babcia zawsze zostawała w domu. Pogardliwym machnięciem ręki odmawiała udziału w wycieczce.

Po sprawie z brekiem nastąpiła podróż do K., większego miasta odległego o jakieś dwie godziny jazdy koleją. Odbywały się tam wyścigi konne i babcia pojechała właśnie na wyścigi.

Drukarz był na dobre zaalarmowany. Żądał, by się poradzono lekarza. Czytając ten list, ojciec mój potrząsał głową, ale nie zgodził się na interwencję lekarza.

Do K. babcia nie pojechała sama. Wzięła z sobą na wpół zidiociałą młodą dziewczynę, pomoc kuchenną z gospody, w której staruszka co drugi dzień jadała.

Odtąd ta „kaleka" odgrywała znaczną rolę.

Babcia ją wprost uwielbiała. Brała ją z sobą do kina i do szewca-łaciarza, który zresztą okazał się socjaldemokratą. Rozeszła się pogłoska, że u szewca w kuchni obie kobiety grają w karty, popijając czerwone wino.

„Teraz kupiła kalece kapelusz ozdobiony różami" — pisał zrozpaczony drukarz, „a nasza Anna nie ma sukienki do komunii!".

Listy mojego stryja stały się zupełnie histeryczne, rozprawiały wyłącznie o „wyzutym z godności prowadzeniu się naszej kochanej matki", o niczym więcej. ciąg dalszy znam od ojca.

Knajpiarz mrugnął znacząco okiem i szepnął: — Pani B. bawi się teraz, jak powiadają.

Tymczasem również w tych ostatnich latach nie przelewało się jej. Gdy nie jadła w gospodzie, spożywała trochę jajecznicy, kawy i przede wszystkim ukochane swoje sucharki. Ale za to pozwalała sobie na szklaneczkę taniego czerwonego wina do wszystkich posiłków. Utrzymywała we wzorowej czystości cały dom, nie tylko sypialnię i kuchnię, których używała. Ale obciążyła dom hipoteką, bez wiedzy dzieci. Nie wyszło nigdy na jaw, co zrobiła z tymi pieniędzmi. Zdaje się, że oddała je szewcowi-łaciarzowi. Po jej śmierci osiadł on w innym mieście, gdzie podobno otworzył duży sklep i warsztat z obuwiem na miarę.

Właściwie przeżyła kolejno dwa życia. Pierwsze jako córka, żona i matka, a drugie po prostu jako pani B., samotna osoba bez zobowiązań, dysponująca skromnymi, lecz wystarczającymi środkami. Pierwsze życie trwało około siedmiu dziesięcioleci, drugie — nie więcej, niż dwa lata.

Mój ojciec dowiedział się, że w ostatnim półroczu pozwoliła sobie na pewne wyskoki, których inni ludzie nawet nie znają. I tak np. latem wstawała o trzeciej rano i spacerowała po pustych ulicach miasteczka, mając je w ten sposób tylko dla siebie. A księdza, który ją odwiedził, by osłodzić jej samotność, podobno zaprosiła do kina.

Nie była samotna, bynajmniej. U szewca-łaciarza bywali, zdaje się, sami weseli i rozmowni ludzie. Babcia miała tam swoją własną butelkę czerwonego wina i popijała słuchając, co opowiadano i jak szydzono z autorytetów miasteczka. Czerwone wino było wyłącznie dla niej zarezerwowane. Jednak niekiedy przynosiła z sobą mocniejsze trunki, by poczęstować towarzystwo. Umarła zupełnie nieoczekiwanie w pewne jesienne popołudnie.

Na fotografii, zrobionej dla dzieci, widziałem, jak leży na łożu śmierci. Widać drobniutką twarzyczkę z mnóstwem zmarszczek i szerokimi ustami o cienkich wargach. Po długich latach niewoli zakosztowała krótkich lat wolności i spożyła chleb życia do ostatniej kromki.

(PRZEŁ. LE-BE).

Przeszłość i teraźniejszość

Edmunda Osmańczyka chwalebna wyprawa na Berlin

Cenię pisarstwo Osmańczyka. Zwłaszcza wówczas, kiedy podejmuje on zagadnienia stosunków polsko-niemieckich. Co tu ukrywać — jest to jeden z tych, którzy nie tylko je znają, lecz także przeżyli. Uwikłany w historyczne wydarzenia nie był Osmańczyk tylko aktorem historii. Pilnie obserwował. I prowadził notatki. Teraz, po latach, kiedy potrafił zdobyć się na konieczny dystans w stosunku do tego wszystkiego, co widział i przeżył, wyciągnął stare zapiski i uzupełniając je pamięcią oraz dokumentami pokusił się o stworzenie zobiektywizowanego, ale jakże plastycznego i osobistego obrazu wydarzeń z tamtego, przełomowego czterdziestego piątego roku...

Jako korespondent wojenny „Dziennika Polskiego" i „Rzeczypospolitej" był wiosną tego roku świadkiem i uczestnikiem zdobywania Berlina. „W przedostatnim dniu ciężkich walk — wspomina z perspektywy ćwierćwiecza — kiedy miałem napisać specjalny reportaż do gazety polowej „Zwyciężymy", zdałem sobie sprawę, że co innego opisywać cywilom w kraju obraz toczącej się bitwy, a co innego mówić o niej żołnierzom frontowym". I zamiast dziennikarskiej relacji przesłał Osmańczyk żołnierzom prosty wiersz:

„To jest wiosna — rok
czterdziesty piąty!
Zapamiętać najważniejszą
z dat!
Przekreślamy — trzydziesty
dziewiąty!
Przekreślamy — sześć
potwornych lat!..."

Nie znam się na poezji, ale nie wątpię, że utwór ten, z którego przytoczyłem jedynie pierwszą strofę, zapadł głębiej w serce frontowego czytelnika niż najlepszy reportaż wojenny. Lecz wiersz ten — bezpretensjonalny w formie — ma jeszcze ten walor, że się sprawdził. „W 25 lat później — powiada Osmańczyk — wspominając tamte dni, wiem już, ze sprawdzoną latami pewnością, że przekreśliliśmy trzydziesty dziewiąty. Tym razem ofiara z żołnierskiej krwi nie była daremna. Co więcej — berlińskie zwycięstwo owocuje pięknie na pożytek nie tylko narodów rosyjskiego i polskiego, ale i wszystkich pozostałych narodów Europy".

Książkę swą zatytułował Osmańczyk jakby po staropolsku: „Chwalebna wyprawa na Berlin". Opublikował ją w ramach wydawanej przez „Radę Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa" serii — „Biblioteki Pamięci Pokoleń" (1970). Jest ona jednocześnie opowieścią historyczną i reportażem, wielce musiałby się więc kłopotać ten, kto chciałby z całą dokładnością określić, do jakiego gatunku pisarstwa należałoby ją zakwalifikować. Ja wykręcę się od tego i powiem po prostu, że zaliczyłbym tę książkę do rodzaju... książek dobrych. O resztę niechaj się kłopocą historycy literatury.

Osmańczykowi nie chodziło o zaprezentowanie nam kroniki wydarzeń historycznych — o szczegółową relację, dzień po dniu, o dziejach tamtej „chwalebnej wyprawy na Berlin"". Autor pragnął nie tylko opisać dziejowe wydarzenia, lecz także wyjaśnić, jak do nich doszło, a wreszcie dać ich ocenę taką, na jaką możemy się zdobyć po upływie ćwierćwiecza. Sięgnął więc do dziejów formowania się armii polskiej w ZSRR, do historii jej wyprowadzenia przez Iran do Iraku i Palestyny, do historii tworzenia nowych oddziałów, które później miały się stać zalążkiem Ludowego Wojska Polskiego. Nie ukrywa spraw drastycznych, bolesnych i trudnych, przeciwnie — dyskutuje je. Tak jest właśnie wówczas kiedy mówi o „perskich Zaleszczykach", które ocenia jako „nową wrześniową klęskę Polski". Podobnie i wtedy, kiedy przyjdzie mu cytować niesamowitą w swej treści instrukcję rządu londyńskiego z dnia 26 lipca 1944 roku przeznaczoną dla zagranicy, a mającą na celu zwalczanie propagandy PKWN, instrukcję w której powiedziano wyraźnie, że nie należy popierać „demagogicznej i nierealnej linii Odry". I raz jeszcze wówczas, kiedy Osmańczyk przypomni słowa następcy Mikołajczyka na premierowskim fotelu emigracyjnego rządu, Tomasza Arciszewskiego, wypowiedziane w wywiadzie dla „Sunday Times" z dnia 2 października 1944 roku: „My nie chcemy ani Wrocławia, ani Szczecina" (We do not want either Breslau nor Stettin).

„W rocznicowe dnie — pisze Osmańczyk — salutując poległych, w patosie elegijnych słów nie zapominajmy o straszliwie prostych politycznych racjach, które od naszych narodów wymagały stokrotnie większych ofiar niż od narodów zachodniego świata. I jeszcze jedno, ani na chwilę nie pozwalajmy zapominać o tym wszystkim politykom za Łabą, którzy dopiero teraz — po 25 latach złudnych nadziei na nasze skłócenie i za tym idącą słabość — zaczynają pojmować, że w wyniku naszego berlińskiego zwycięstwa i naszej solidarności nie tylko w wojnie, ale i w czasie pokoju jesteśmy i będziemy trwale już silni; politycznie zatem rozsądniej jest widzieć w nas ideologicznych przeciwników, z którymi się pertraktuje, niż śmiertelnych wrogów, z którymi wojny wygrać nie można".

JÓZEF GRZELAK

ROMAN ŁOBODA

Reportaż teatralny czyli jaka jest ta Polska?...

Polska dzieli się na: Polskę północną, południową, wschodnią i zachodnią. Polska centralna leży na przecięciu tych wszystkich linii. Podział, jak każdy zauważy, mocno uproszczony, a zatem nie uwzględniający niuansów o specyficznym, teatralnym znaczeniu. Nadal jednak, geograficznie rzecz biorąc, pewne ośrodki teatralne dadza się włączyć zarówno do północy jak i zachodu, południą i wschodu oraz zachodu i południa. Co tęższy ośrodek — nie licząc leżącej na północnym wschodzie Warszawy — przeważnie markuje swój udział w imprezach „geograficznie" organizowanych.

Toruń po raz dwunasty zorganizował „Festiwal Teatrow Polski Północnej", co prawie znaczy: festiwal teatrów prowincjonalnych, które działają na północy kraju. I tu względnie wyrównany poziom wszystkich ośrodków gwarantuje „szczerą" frekwencję scen terenu.

„Rzeszowskie spotkania teatralne" to przecież impreza Polski południowej, zważywszy, że zasila je głównie udział teatrów Krakowa, Wrocławia i niekiedy Katowic. Ale tu, w dalszym ciągu nie tracący nadziei powrotu dawnej świetności teatralnej, Kraków raczej zbywa tę słabo notowaną na giełdzie krajowej imprezę, zaś Teatr Polski z Wrocławia, żyjąc w światoburczej aurze teatralnej miasta (Grotowski, Tomaszewski), odfajkowuje sprawę, licząc głównie na wrocławskie spotkania teatralne, które nie tyle miałyby integrować teatralny zachód kraju (Poznań, Zielona Góra, ewentualnie Opole), co zaspokajać własne potrzeby eksponowania osiągnięć. (Oczywiście wszystkie ośrodki organizujące festiwale czy spotkania teatralne przy okazji o swoich interesach pamiętają). Z wielu względów dominująca sytuacja Wrocławia z góry (teoretycznie?) zakłada nierówność konkurencji, zaś skala porównań i wymiany doświadczeń jest raczej jednostronna, stąd też płyną inne wnioski, o których później.

Centralnie położona Łódź jest zawieszona w martwym punkcie, a „Kaliskie Spotkania Teatralne", faktycznie festiwale, na pewno nie są wykładnikiem tego, co dzieje się „na przecięciu linii".

Warszawa bez pomocy Łodzi i Kalisza w pewnym ograniczonym i pokrewnym Wrocławowi stopniu załatwia te sprawy, boć przecie nie może także na serio integrować terenów wschodnich z Białymstokiem i Lublinem, które kołatają się między Toruniem i Rzeszowem, nie mając gdzie dokonywać „przymiarki".

Bowiem — **mapa teatralna Polski to wcale nie geografia Polski**, a jeżeli takie tendencje uterenowienia życia teatralnego staram się wytropić i jeżeli one rzeczywiście istnieją, to wydaje się, że grupowanie akcji artystycznych w poszczególnych okręgach kraju nie zakłada jeszcze grupowości, czy ukierunkowania poszukiwań teatralnych, a nawet równości poziomu artystycznego. Rzecz polega na konfrontacji „sąsiedzkich" wysiłków i osiągnięć w imprezie, która może zwrócić na siebie uwagę ogólnopolskiej opinii teatralnej, z głównym naciskiem na centralne organy prasowe i środki masowego przekazu.

XII Festiwal Teatrów Polski Północnej, mimo bardzo nierównego poziomu prezentowanych spektakli, co obniżyło ogólny poziom festiwalu, wykazał, że przenikanie wpływów i tendencji artystycznych nie musi się odbywać na zasadzie bliskości terenowej.

Dziewięć teatrów pokazało czternaście sztuk. O wiele za wiele, jeżeli policzyć te, które się liczyły. Nie zaprezentowano ani jednej polskiej współczesnej, a także w ogóle ani jednej sztuki o tematyce współczesnej. Mimo to powiało nowością, szczególnie jeśli chodzi o sposób traktowania dramatu — a więc inscenizację, reżyserię a także grę aktorską. Ciekawe, że wśród trzech najwybitniejszych i nagrodzonych spektakli na dwóch wycisnęły się wyraźnie ślady szkoły Grotowskiego z Wrocławia. „Hamlet" w reżyserii Jana Maciejowskiego i interesującej scenografii Zofii Wierchowicz dał Toruniowi główną nagrodę zespołową i trzy indywidualne wyróżnienia. Zarówno jurorom jak i publiczności podobał się spektakl potraktowany prawie realistycznie, eksponujący intrygę krolewską bez podtekstów filozoficznych i metafizycznych. Tempo, a nade wszystko ruch i gest, to główne zalety spektaklu. Książę duński w interpretacji wyróżnionego za grę Marka Bargiełowskiego, prezentuje tzw. typ mięśniowy, wszelkie bowiem hamletowskie emocje, a nawet refleksje przekazuje głównie ruchem i ekspresyjnym gestem, nie zapominając przy tym o mimice i poprawnej dykcji. W podobnym stylu poprowadzone są dalsze role. Szczególnie interesująca jest Teresa Marczewska w roli Ofelii, odmiennie, zmysłowo, a nie z płaczliwą lirycznością potraktowanej. Klaudiusz i Gertruda są bardziej powściągliwi, chociaż i im nie skażone „szaleństwem" dostojeństwo nie przeszkadza, gdy trzeba, w „parterowej" grze. W tym ujęciu dramat namiętności ludzkiej pełza i miota się przy ziemi, a nie, jak w innych odczytaniach — unosi tajemniczą grozę pomsty do nieba.

W tarzaniu gimnastycznym najczystszej wody utopił koturny królewskie Jan Błeszyński, czyli król Edward II na scenie. Koturny poutrącał już przedtem Jerzy S. Sito, parafrazując historyczny utwor Christophera Marlowe'a. Jan Błeszyński przyczynił się walnie do „żałosnej śmierci króla Anglii i tragicznego upadku dumnego Mortimera" układem tekstu, inscenizacją, reżyserią, a także tytułową rolą w „Edwardzie II". Rzecz dzieje się na ringu bokserskim (scenografia Władysław Wigura), a liny znakomicie chronią ciała aktorów przed wypadnięciem ze sceny, zaś ciała nie tylko walczą, zabijają i są zabijane — ciała również pławią się w homoseksualnych uciechach. I tu dobitnie uwydatnił się sukces wrocławskiej szkoły Grotowskiego — igrce miłosne króla i jego oblubieńcow w gimnastyczno-parterowym ujęciu nabierają cech wolnoamerykanki i nie rażą swoją wyjątkowością liryczną.

Zespół Teatru im. Jaracza Olsztyn — Elbląg otrzymał nagrodę tuż po „Hamlecie" i „Weselu", zaś dyrektor Błeszyński — indywidualną za układ tekstu i reżyserię. Zespół bardzo nierówny poprowadził reżyser do sukcesu chyba właśnie trafnym i oryginalnym potraktowaniem dyskusyjnego dramaturgicznie, ryzykownego w problemie i niełatwego w przekazie utworu.

Festiwal zamknęło „Wesele" Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Józefa Grudy. PTD ze Szczecina pokazał się z jak najlepszej strony i tu trzeba przyznać, że wyrównanym poziomem aktorstwa zasłużył na drugą ocenę jury.

Na różnych „Weselach" bywałem w ubiegłym sezonie, a to było smakowite mimo przesytu, jaki można już przecie odczuwać. „Wesele" szczecińskie zostało „odromantycznione i odsymbolizowane" w miarę możliwości i rozsądku, a raczej rzekłbym, pobrzmiewało publicystyczną nutą. W ten sposob „Osoby dramatu" (Upiór, Wernyhora, Hetman itd.) mówiły bez charakteryzacji z widowni, eksponowane jedynie punktowymi światłami. Powstało coś w rodzaju dyskusji — sporu między żyjącymi ze sceny a umarłymi z widowni. Żyjący zbliżali się niekiedy do umarłych wybiegiem ze sceny; coś jak modelki w czasie pokazu mody. Widzowie tkwili wówczas jakby w środku awantury dziejowej i bez przesady były to mocne, autentyczne przeżycia, przy czym — czy może przez to — aktorzy na wybiegu grali wyjątkowo sugestywnie. (Dziennikarz — Wacław Ulewicz; Pan Młody — Jerzy Korsztyn).

Jeszcze na wyróżnienie zasłużył Teatr „Wybrzeże" z Gdańska spektaklem „Przedwiośnie" Stefana Żeromskiego, w adaptacji Zbigniewa Bogdańskiego i Zbigniewa Florczaka, a reżyserii tego pierwszego. Również udana była „Niespokojna starość" Leonida Rachmanowa w wykonaniu teatru białostockiego.

Zasadnicze jednak tendencje i styl, które przenikają do teatrów północy, uwidoczniły się w trzech pierwszych spektaklach: wydaje się, że w tych teatrach ulega przetworzeniu przede wszystkim konwencja gry aktorskiej. Większy nacisk kładzie się na ekspresję ruchu, gestu i układy sceniczne, mniejszy — na plastykę słowa, w jego dominującej roli przenosnika treści dramaturgicznej. Jest to oczywiście idea rodem z „Instytutu Badań Metody Aktorskiej" we Wrocławiu, a to już prowadzi do pewnych, zapowiedzianych uprzednio wnioskow.

Przede wszystkim należy stwierdzić, że podział teatralny kraju na A, B czy C nie jest możliwy, a nawet nie ma większego sensu. Geografia teatralna, po bliższej analizie okazuje się rownież tworem sfinksowatym, jeżeli chodzi o jakiekolwiek wnioski natury artystycznej. Próba podziału Polski według stron świata służyła poparciu powyższej tezy, bowiem tendencje i konwencje teatralne uprawiane na północy, południu, środku i w najróżniejszych przekrojach nie organizują się terytorialnie, a podlegają zgoła innym wektorom sił.

Bardzo ożywiona ostatnio migracja reżyserow, scenografow, aktorów a nawet dyrektorów teatrów powoduje gwałtowne zmiany w strukturze artystycznej kraju. Odpływ wielu utalentowanych artystów sceny z silniejszych, czy pozornie silniejszych ośrodków, bywa niekiedy przypadkowy, najczęściej jednak ambitne i prężne jednostki szukają wdzięcznej gleby dla swej działalności i nie przypadkiem tam się przyjmują.

Doktrynerstwo i rutynizacja życia artystycznego powodują „zrogowace

Andrzej Grun: „Ziemia jałowa" II

ZOFIA TARNOWSKA

PROJEKTY A ŻYCIE

KTOKOLWIEK wchodzi do rozległego parku, w którym porozrzucane są pawilony szpitala im. dr Babińskiego w Kochanówce, — a jest tych pawilonów ponad dziesięć — odnosi wrażenie, że znalazł się w cudownych warunkach uzdrowiskowych. Mnóstwo zieleni i kwiatów, wypielęgnowane aleje, nowe i odnowione obiekty lecznicze, gospodarcze i socjalne; klub „Ruchu", biblioteka, sklep...

Tymczasem wewnątrz... Pawilon nr 8. Szerokie schody. Drzwi. Tu wszystkie drzwi są bez klamek. Obszerna przestrzeń szerokich korytarzy, załamujących się w duże wnęki — wypełniona ludźmi. Korytarz zamieniony w wielką salę, a wnęki wypełnione łóżkami. Wśród masy łóżek, uszeregowanych także wzdłuż korytarzy wszystkich oddziałów, stoją ciasno skupione stoliki do posiłków. Miejsca na szafki dla potrzeb osobistych nie ma. Tu przestrzeń życiowa człowieka chorego wynosi tyle, ile potrzeba na ustawienie łóżka.

Pawilony wszystkie są jednakowe. Ten, podobnie jak wiele innych, należy do nowych. Z dawnego stanu posiadania zostało tylko kilka gmachów. Nakładem wielu milionów złotych, przy nieustającej pomocy władz partyjnych i miejskich wybudowano nowoczesne obiekty, uwzględniające w projektach spełnienie zasad postępu terapeutycznego. Szpital w Kochanówce stał się reprezentacyjną placówką lecznictwa psychiatrycznego, ale... Przynajmniej na razie nikt nie jest w stanie określić w jakim stopniu uda się — nie tylko w naszym kraju, lecz na całym świecie — przeciwdziałać wzrostowi zaburzeń psychicznych — zjawiska charakterystycznego dla burzliwego postępu cywilizacji podobnie jak nasilanie się chorób układu krążenia (zawały). Kiedy wznoszono w Kochanówce piękne pawilony planowano w każdym po 120 łóżek. Nim wybudowano — okazały się za małe. Natychmiast każdy oddział zajęty został przez blisko 180 pacjentów. A potem były okresy, że hospitalizowano po 200 pacjentów. W psychiatrycznych szpitalach nie ma odmowy z powodu braku miejsca. Tu miejsce musi się znaleźć. Na 120-łóżkowym oddziale kobiecym jest aktualnie 178 pacjentek. Oddział obserwacyjny tylko formalnie jest obserwacyjnym. Nie ma mowy o poddawaniu pacjentów obserwacji w odosobnieniu, zapewniającej choremu i lekarzowi spokojne przeprowadzenie poznawczych czynności. Tu nie można także zróżnicować pacjentów według stanu czy stadium choroby, zapewnić warunków spokoju, jakże koniecznego dla prawidłowego przebiegu terapii, utrzymywać należytego stanu sanitarnego, porządku, ładu zbiorowego i indywidualnego. Męczą się pacjenci i męczą się lekarze, których jest za mało na tę liczbę chorych. Za mało jest pielęgniarek i pracownic pomocniczych. Na 23 łóżka przypada jeden lekarz. W nocy dyżuruje trzech. Na wszystkie, rozrzucone po całym obiekcie pawilony. A są oddziały z takimi chorymi, którzy często w czasie nocy wymagają interwencji lekarskiej. Są tacy, którzy cierpią na manię samobójczą, są inni o skłonnościach agresywnych. Jest także oddział pacjentów internowanych wyrokami sądów, dla których powinno być miejsce przy szpitalach więziennych.

Trudności łóżkowe pogłębiane są jeszcze przez remonty pawilonów. Kapitalne i bieżące. W ubiegłym roku z tych względów nieczynnych było ponad 170 łóżek. Ale pacjenci byli.

☆

WEDLUG wskaźników aktualnie obowiązujących — Łodzi brakuje tylko 150 łóżek psychiatrycznych. Łódzka Kochanówka przeznacza jednak 600 łóżek dla pacjentów części województwa, liczącej około 860 tysięcy mieszkańców.

Prócz nich znajdują się tu ludzie przewlekle chorzy — około 400. Powinni być w specjalistycznych domach opieki. Tam jednak nie ma miejsc. Domów tego typu jest za mało. Dla Łodzi, jak z tego wynika, potrzeba już 400 miejsc w domach specjalnej opieki z możliwością terapii zajęciowej. Terapia pracy w Kochanówce ma ograniczone możliwości. Nie wszyscy pacjenci mogą korzystać z wielowarsztatowej pracowni (szwalnia, prasowalnia, wytwórnia kapeluszy i toreb, pracownia ceramiczna), potrzebne są oddziałowe pracownie dostosowane do możliwości pacjentów, nie opuszczających pomieszczeń oddziałów. A miejsca dla pracowni nie ma.

Nie ma, nie ma... brakuje kadr lekarskich i pielęgniarskich. Trzeba jeszcze pamiętać, że w grupie personelu salowych pracują prawie wyłącznie kobiety, wobec dużej ilości pacjentów-mężczyzn (niespokojnych, alkoholików i podsądnych) ten układ jest zdecydowanie niekorzystny. Jest jeszcze grupa pacjentów, którzy cierpią na dodatkowe dolegliwości fizyczne. Ci wymagają specjalnej opieki i skojarzonego leczenia.

Nie wystarczają na dzisiejsze potrzeby zaplecza diagnostyczne. Pomieszczenia przeznaczone na poszczególne pracownie są niedostateczne, porozrzucane w terenie. Laboratorium analityczne nie jest w stanie wykonać wzrastającej ilości badań (w 1965 roku wykonano 43,5 tys. a w 1969 — 156 tys.). Nie ma właściwych pomieszczeń dla fizykoterapii, balneoterapii, przychodni przyszpitalnej, izby przyjęć, gabinetów specjalistycznych i zabiegowych (chirurgia, interna, okulistyka, ginekologia, laryngologia) ani lokali dla pracowni elektrodiagnostycznych (np. EKG). Rozbudowywano pomieszczenia dla łóżek, ale nie rozbudowywano zaplecza, a dziś lecznictwo psychiatryczne nie może istnieć w oderwaniu od technicznej strony postępu medycznego. Inwestycyjne zdobycze zaplecza to nowa pralnia i kotłownia z hydrofornią. Bez tych obiektów szpital nie mógłby w ogóle istnieć. Kuchnia osiągnęła apogeum wydolności i wytrzymałości. Pracuje na dwie zmiany, żeby sprostać podwojonemu zadaniu. Nadmierne obciążenie urządzeń doprowadziło do zawalenia się stropów pod ogromnymi i ciasno ustawionymi kotłami. Już osiem lat temu dyrekcja szpitala starała się uzyskać w Ministerstwie Zdrowia pozwolenie na opracowanie dokumentacji projektowo-kosztorysowej, a następnie na budowę samej kuchni. Istnieje szansa na rozpoczęcie budowy dopiero w przyszłym roku.

☆

ISTNIEJE projekt należytego zagospodarowania szpitala. Przyszły kształt rysuje się gdzieś około 1985 roku. Ale co robić do roku 1985? Jak ułożyć należyte warunki bytu pacjentów, którzy mają się tu leczyć efektywnie, a nie zjadać leki (bardzo drogie), żeby formalności stało się zadość?

Zmienić rejonizację w terenowym,

nie" tkanki twórczej. Martwe struktury nie znoszą zmian i bronią się przed wszelką formą zapłodnienia, chociaż by to warunkowało i ich ożywienie, a także wzrost. Powstają sztuczne układy i dożywotnie bractwa, które zamykają światło przypływu. Konkurencja zaczyna przybierać formy przyklepywania i przystrzygania. Wówczas mówi się o stagnacji artystycznej, drze szaty i szuka paliatywnych rozwiązań.

Spotkania teatralne i festiwale są — nie wiem czy w pełni uświadomioną — zbiorową formą obrony przed przyklepywaniem: scentralizowane środki masowego przekazu stoją w sprzeczności z decentralizacją życia teatralnego — przemożna tuba opiniodawcza jest daleko i trzeba ją jakoś zwabić. W tym aspekcie sprawa terenowych pokazów teatralnych jest nie tylko potrzebna, lecz także wymaga pewnych usprawnień organizacyjnych i propagandowych. Sądzę, że system zgłaszania przez teatry sztuk na festiwale i pokazy (tak było w Toruniu) powoduje zbyt żywiołowe i mało selektywne „obesłanie" imprezy. Ale nie wiem, czy lepsze byłoby zapraszanie teatrów z określonymi spektaklami. Myślę również, że nagrody i wyróżnienia uatrakcyjniają festiwale, czego nie można powiedzieć o spotkaniach teatralnych.

Na pytanie, czy warto urządzać większe imprezy w małych ośrodkach teatralnych, odpowiadają twierdząco nie tylko gospodarze, ale i osoby postronnie kompetentne. Na dyskusji z udziałem członków Klubu Krytyki Teatralnej, której przewodniczył Roman Szydłowski, padło również pytanie, czy warto nadal urządzać festiwale w Toruniu, ponieważ zainteresowanie festiwalami maleje. Dyskusja odbyła się w dzień przed zamknięciem festiwalu. Nikt nie podważał racji następnego Festiwalu Teatrów Polski Północnej. Wydaje się nawet, że mógłby się odbywać festiwal teatrów Polski południowej, a co drugi rok, na przykład, ogólnopolski festiwal teatralny kolejno w różnych miastach. W ten sposób można by dokonać konfrontacji tego, co się dzieje na najlepszych scenach w kraju.

Co daje taka konfrontacja? Przede wszystkim pozwala zorientować się **jaka jest ta Polska teatralna.** Powtóre — jaki jest ten nasz ośrodek teatralny.

Nie da się ukryć, że największą ilość renomowanych ludzi teatru skupia Warszawa i Łódź. Nie da się również ukryć, że w tych miastach najłatwiej wylansować aktora i najlepiej można zarobić. Warunki te stwarza telewizja w Warszawie i Wytwórnia Filmów Fabularnych w Łodzi. Na tym polu oś Warszawa — Łódź działa prawidłowo. Z tych też więc względów — a nie będzie to megalomanią — Łódź obok Warszawy można uznać za teatralne centrum Polski, uważając, że bez filmowej symbiozy ta centralność byłaby tylko kłopotliwa. Udane, czy nie, ale niewątpliwie ambitne poszukiwania scen Polski północnej, a także niektórych scen południa, to między innymi problem koncentracji sił i zainteresowań głównie w kierunku desek teatralnych.

Myślę, że uważny czytelnik bez łopatologicznego bilansowania wniosków rozsianych w tekście, potrafi do nich wrócić pamięcią i uzupełnić nimi dalsze rozważania o Łodzi teatralnej. A zatem — mówione już chyba po raz „enty" — Łódź ma wszelkie możliwości stworzenia jednego z najsilniejszych ośrodków teatralnych w kraju. Umożliwiają to warunki, o których wspomniałem, jak również szeroka kadra zdolnych aktorów, scenografów i reżyserów, w tym kilku młodych: Grzegorzewski, Zatorski, Strokowski i Jan Skotnicki — który zaprezentował się z jak najlepszej strony reżyserując w Teatrze Nowym „Janosika" E. Brylla — to talenty, które rokują co najmniej tyle inwencji twórczej, co: Jan Maciejowski z Torunia, Maciej Prus ze Szczecina, czy ze starszych nieco — Jan Błeszyński z Olsztyna, a także Jan Gruda ze Szczecina. (Jeszcze „Polska północna" pozyskała Okopińskiego, Huebnera, Kordzińskiego i innych zdolnych, a dynamicznych ludzi teatru. Jak na dziewięć scen — sporo!).

Jaskrawy niedobór nazwisk reżyserskich w Łodzi przechodzi obecnie swój impas ku lepszemu. W ślad za tym idą wybitniejsze osiągnięcia. „Życie jest snem", Irydion" „Henryk V", „Advocatus diaboli", „Janosik"). Ale to nie wszystko. Jeszcze może za wcześnie na to, by ujawniły się wyraźniejsze tendencje artystyczne i wykrystalizowała stylowość teatrów, chociaż wpływ szkoły Grotowskiego daje się ostatnio odczuć. Wszakże nie o Grotowskiego, jak mogłoby się komuś zdawać, lecz o określony konwencją kierunek poszukiwań twórczych w teatrach chodzi.

Konfrontacja możliwości i idących za tym osiągnięć teatralnych Łodzi, z resztą obszaru teatralnego w kraju, a nawet z peryferyjnymi ośrodkami, nie zawsze wypada nam na plus.

Nie sądzę, żebym wyczerpał temat, niemniej jednak, globalnie rzecz ujmując, a w wielkim skrócie ją wyrażając, pragnę na zakończenie przekazać nieco optymizmu, którym, mimo wszystkich krytycznych uwag, napoły mnie wojaże teatralne.

Poziom teatrów polskich, a w szczególności reżyseria, scenografia i w dużej mierze aktorstwo, to poziom wysoki w porównaniu z tym, co można obejrzeć poza granicami. Gdyby zaś dramaturgia polska nadążała za zapotrzebowaniem — chcę wierzyć — teatrów na sztuki współczesne, to można by siedem godzin na dobę spać spokojnie po pracy.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Tradycja — ciągłość — nowatorstwo

Tadeusz Chróścielewski należy do grona tych nielicznych współczesnych poetów, których źródło twórczości ma swoje miejsce w tradycjach narodowych, nie zawsze ściśle związanych z charakterem obyczajowym i ideowym czasu bieżącego. Pisarstwo tego rodzaju posiadające w naszej literaturze niezłe tradycje, poczęło w obecnym stuleciu ustępować miejsca literaturze bezpośrednio związanej ze swoją epoką, stając się z czasem (szczególnie w poezji) pewnego rodzaju ewenementem. Należy podziwiać poetę za jego konsekwentny upór kontynuowania i obstawania przy nieustannym ewokowaniu wartości duchowych kultury przeszłości, łącznie ze stosowaniem chwytów, zabiegów stylistycznych i stylizacyjnych.

Wiersze pomieszczone w tomie „Hipokrene warmińska" w większości pochodzą z poprzednich zbiorków poety, część ich natomiast, szczególnie cykle „Górskie terminy", „Wersal białostocki" oraz „Niech i Zagłoba tu zasiądzie z nami" z wyjątkiem nielicznych po raz pierwszy wchodzą w skład publikacji książkowej. „Hipokrene warmińska" jest więc poniekąd syntezą dwudziestoletniego dorobku poetyckiego Chróścielewskiego i dlatego czas chyba stosowny na próbę wstępnych podsumowań, jakkolwiek poezja ta nie stanowi zamkniętego dokonania, lecz w dalszym ciągu jest in statu nascendi. W poezji autora „Pustego krzesła" dają się wyodrębnić trzy nurty: wiersze będące swoistą odmianą sagi rodzinnej; liryka historyczno-patriotyczna oraz liryka refleksyjna. Omawiany tom mieści się prawie w całości w nurcie drugim.

Krajobraz i historia są głównymi, ściśle ze sobą powiązanymi elementami tworzącymi tę poezję, u której podstaw tkwi przede wszystkim przeżycie z autopsji. Nie jest to jeszcze wyróżnikiem decydującym o oryginalności postawy poety. Również nie jest żadną nowością fakt, że mamy do czynienia z liryką o elementach narracyjnych, gdzie pokutują na ogół utarte schematy fabularne. Odrębność liryki Chróścielewskiego polega na tym, że poeta komponuje wiersz na zasadzie opowieści lub też przypowieści staropolskiej, której integralnymi składnikami są humor, ironia, wątki fikcyjne dające złudzenie autentycznego wydarzenia oraz dystans liryczny, kamuflowany makaronizmami i stylizacją języka staropolskiego lub wyrażeniami gwarowymi. Tym samym następuje zderzenie przeszłości z teraźniejszością nie na zasadzie aluzji politycznych lub obyczajowych, a wyłącznie na płaszczyźnie przeżycia lirycznego czy przygody poetyckiej. Chróścielewski nie występuje tu w roli mentora, trybuna, bardziej chyba do jego postawy przystaje określenie „homo ludens".

Zadziwiające jest, że liryka historyczna o tendencjach patriotycznych może mieć również charakter ludyczny. Dokonał tego w sposób zupełnie udany Chróścielewski, ewokując fakty z przeszłości (na ogół pozytywne) przy pomocy języka stanowiącego specyficzną syntezę dziejów mowy ojczystej. Zaznaczyć trzeba, że w wierszach tych historia wiedzie dyskretny dialog z historią literatury. Fakt zaistniały w przeszłości nabiera oryginalnego kolorytu dzięki warstwie językowej, w jakiej jest umieszczony i staje się jakby bytem niezależnym, już nie tyle historycznym, co poetyckim. Anegdota, temat literacki, okazuje się, są jedynie pretekstem do osiągnięcia poezji w pewnym stopniu homogenicznej. Dzieje się tak w „Pogrzebie Jana Klemensa Branickiego", w „Kościółku pod Olesnem" i wielu innych, powstałych zwłaszcza w ostatnich latach. Czasami popada poeta w ton moralistyczny, ale i tu nie obywa się bez szczypty humoru i sympatycznej autoironii:

„Przydaję taki morał do swego brwi zmarszczenia:
Nauczmy się wierności i statku od kamienia".

Humor Chróścielewskiego polega na interesującym zestawieniu pojęć z obrazami, np. **„gdzie dziejami jak serdak cyfrowane dzieje"** lub na kreacyjno-anegdotycznej fikcji:

„Rośnie Dafnis w bobkowy kamień przemieniona,
Chloris wręcza idącym obfitości kamień,
Herakles dubeltowy o czterech ramionach
W imię Pana Hetmana dziwne bydlę łamie."

Opis to nader kunsztowny, a takich możemy znaleźć sporo w „Hipokrenie warmińskiej". Również zaskakująca jest metaforyka, zbliżona niekiedy do awangardowej, np. „kiedy góry podchodzą, by zmiażdżyć równinę", „niski kościółek powiązany mchem, hubą, postronkami deszczu" itd. Środki stylistyczne w poezji Chróścielewskiego odgrywają niezwykle istotną rolę. Arsenał ich jest w przypadku autora „Miesiąca utajonego" nadzwyczaj bogaty, bo on też w głównej mierze decyduje o wartościach i oryginalnym wyrazie tej poezji, która tematycznie sięga do głównych, jak i epizodycznych wydarzeń z przeszłości naszego narodu nie w celu udzielenia jeszcze jednej nudnej lekcji historii, a z zamiarem nauczenia czytelnika c z u c i a historii. Sam pisze, że niemożliwością jest przeżywać jedną rzecz kilka razy tak samo, można do niej myślą powrócić, nawet wchłonąć ją, ale nie wejść do jej wnętrza. Jednak Heraklit Efezyjczyk miał rację:

I czasem, bo w czasie,
Chce przywrócić zabyle,
choć to na nic zda się,
Więc zszywa kres z bezkresem grubą błyskawicą".

Prawdziwych powrotów do miniionego nie ma, ale jest możliwość łączenia, pojednania przeszłości z teraźniejszością i myślę, że umiejętność tę posiadł z właściwą sobie artystyczną wprawą Tadeusz Chróścielewski.

*) Tadeusz Chróścielewski, Hipokrene warmińska, Pojezierze, Olsztyn 1969, s. 72.

---

a nie merytorycznym tego słowa znaczeniu. Odseparować od województwa. Pobożne życzenie. Województwo znajduje się w jeszcze gorszej sytuacji. Szpital w Warcie i jego dwie filie — w Małkowie i Glazie — pełnią usługi hospitalizacyjne dla reszty mieszkańców województwa (przeszło pół miliona) oraz dla 270 tysięcy mieszkańców dwóch powiatów... województwa poznańskiego. Tak zadecydowała „najwyższa rejonizacja". Czy tam, na wysokości nie wiedzą o tym, że w poznańskiej Dziekance, szpitalu psychiatrycznym koło Gniezna — są wolne miejsca, podczas gdy w województwie łódzkim statystycznie przypada 5 i pół łóżka psychiatrycznego na 10 tysięcy mieszkańców? Ale jakie są to łóżka? Szpital w Warcie odziedziczył dwa budynki po klasztorze bernardynów. Higiena bytowania — jak twierdziła komisja radnych — jest w tych prastarych obiektach poniżej dopuszczalnej granicy. Trzeba pomnożyć wielokrotnie niedostatki Kochanówki, żeby wyobrazić sobie warunki szpitala w Warcie.

Toż to ogromny szpital. Okazuje się, że około 450 chorych przebywa tu już ponad 5 lat. Większość z nich powinna znajdować się w domach opieki specjalnej. A poza tym warunki takie uniemożliwiają segregowanie chorych, stosowanie metod leczenia, uniemożliwiają leczenie nerwic i skrócenie czasu leczenia innych. Terapia pracą? Można by nią objąć około 500 chorych, ale jeden stary barak przeznaczony na zajęciową formę leczenia ma charakter namiastki tym skromniejszej, że brakuje także instruktorów, a współpraca ze spółdzielnią inwalidzką praktycznie nie istnieje.

Lekarze. Można ich policzyć na palcach. Pielęgniarki — tylko 20 procent ma pełne kwalifikacje. 75 asystentek nie rozwiązuje problemu opieki pielęgniarskiej. Przypada więc jedna dyplomowana pielęgniarka na 300 chorych w czasie popołudnia i nocy. Od dawna nie notuje się „napływu kadr pielęgniarskich".

Obraz jest ponury. Trochę optymizmu wprowadzają perspektywy następnych trzech pięciolatek. Oddziały psychiatryczne były i są w planach rozbudowy szpitali powiatowych. Resort zatwierdził budowę w Zgierzu, Kutnie, Rawie, Piotrkowie, Pabianicach i Żabiczkach. Realizacja? „Kilka planów pięcioletnich" — tak się to określa. Pierwsze plany — dość realne — spaliły na panewce wobec braku mocy przerobowej. Na najbliższą pięciolatkę projektowano budowę dwóch pawilonów — w Zgierzu i Warcie. Analiza projektu i towarzyszących mu okoliczności doprowadziła do decyzji przeprowadzenia w Warcie gruntownej modernizacji z budową 180-łóżkowego pawilonu i bloku mieszkalnego (60 mieszkań) dla kadry lekarsko-pielęgniarskiej. Poza tym w projektach jest budowa trzech zakładów specjalnych dla 400 chorych. I stąd wniosek, że sytuacja w Warcie powinna ulec poprawie.

Na wielkiej debacie członków dwóch komisji socjalnych rad narodowych — miejskiej i wojewódzkiej, obnażono całą prawdę o sytuacji lecznictwa psychiatrycznego w regionie łódzkim.

Ż**EBY** dobrze i szybko leczyć trzeba mieć środki. Nie w perspektywie, lecz zaraz. Razem z liczeniem na poprawę w perspektywie następnych 5-latek musimy liczyć na zwiększający się odsetek pacjentów nie wyleczonych. Koło się zamyka. W tym kole jest jeszcze lecznictwo otwarte — poradnie zdrowia psychicznego, na których spoczywa pierwszoplanowe zadanie. I to lecznictwo — przede wszystkim w województwie — cierpi na braki, z których niedostatek kadrowy wysuwa się na pierwsze miejsce. Może ukierunkowanie stażów podyplomowych będzie drogą wiodącą do złagodzenia i zlikwidowania tego braku, zwłaszcza, jeżeli zapewni stażystom mieszkania w miejscu pracy. Na razie nieliczni lekarze w większości dojeżdżają „na godziny" ze stolicy województwa.

Powstaje jeszcze pytanie — czy to wszystko wyłoniło się nagle? Nie. Wyłania się z taką samą ostrością od wielu lat i np. dr Nitecki przypominał, że z trybuny komisji sejmowej informował nieraz o fatalnej sytuacji lecznictwa psychiatrycznego w łódzkim regionie. Sam minister zdrowia odpowiedział, że wie, że będzie się budować pawilony psychiatryczne. Minęły trzy lata i zaczynamy ab ovo. Władze miasta i województwa jeszcze raz otrzymają „odświeżone" i obarczone nowymi problemami stare dane. Razem z wnioskami sformułowanymi przez zespół reprezentujący bardzo zróżnicowane profesjonalnie środowisko. Ten zespół zapowiada, że wnioski będą realne a ich realność udokumentowana. Myślę, że w dalszym etapie oceniania tych wniosków na wysokościach resortów należy zaprosić kilka komisji sejmowych na wizję lokalną do Kochanówki i okolic.

Nie będzie łatwo w szybkim czasie zmienić opisany stan. Potrzeby inwestycyjne są ostrożnie wyważane. I słusznie. Jestem zdania, że wiele inwestycji można jednak i należy odroczyć (np. domy handlowe) na rzecz przyspieszenia budowy obiektów leczniczo-społecznych. To są obiekty szybko rentujące. W rezolucji podjętej rok temu w Sopocie na Konferencji Ministrów Zdrowia Krajów Socjalistycznych podkreślono, że „kryterium ekonomiczności, aczkolwiek bardzo istotne — w problematyce ochrony zdrowia nie może być czynnikiem decydującym w warunkach krajów socjalistycznych. Zarówno wewnętrzna struktura szpitala jak i wszystkie rozwiązania organizacyjne powinny być skierowane przede wszystkim na dobro chorego człowieka, co w ostatecznym rozrachunku przyniesie korzyść całemu społeczeństwu.

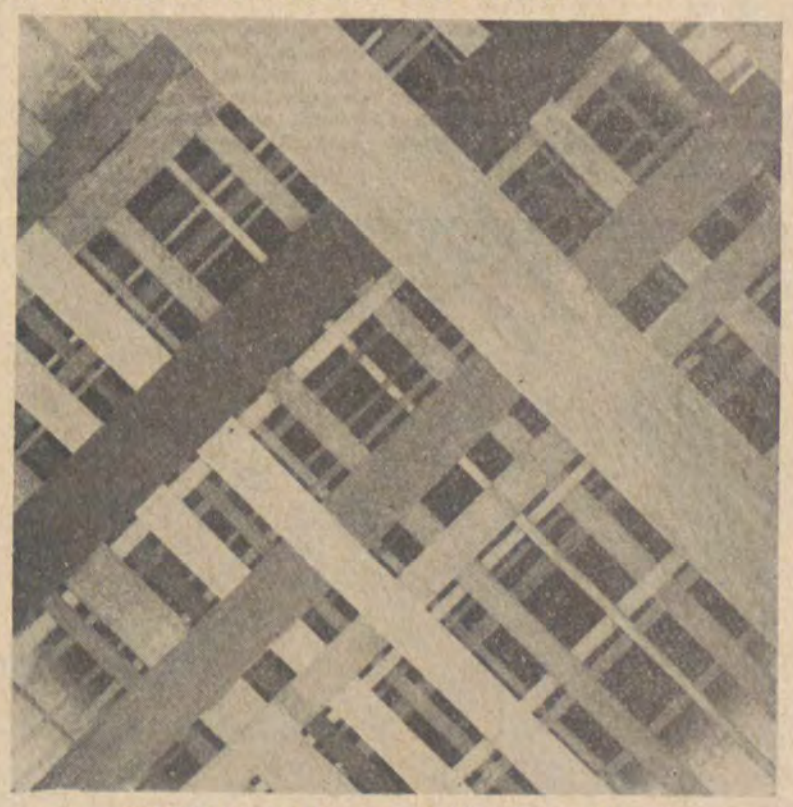

Zofia Artymowska: Podział przestrzeni — II 1969

WITOLD KOCHAŃSKI

NIEMEN i...NORWID

Nie lubię Niemna. Razi mnie w nim — i chyba nie tylko mnie — właśnie to, dzięki czemu stał się bożyszczem nastolatków: tanie efekciarstwo, wyrażające się w bitelsowskiej fryzurze, hippisowsko-błazeńskich kostiumach, wrzaskliwej interpretacji piosenkarskiej kiepskich często tekstów. Nic więc dziwnego, że mnie wręcz zaniepokoiła wiadomość, iż Niemen skomponował muzykę do jednego z najwspanialszych wierszy Norwida, jakim jest „Bema pamięci żałobny rapsod", i że odnosi niebywałe sukcesy wykonując pieśń pod tym tytułem. Obawiałem się bowiem, że to będzie parodia Norwida, jak najgorsza przysługa oddana propagandzie jego poezji. Gdy jednak usłyszałem raz i drugi przez radio „Bema pamięci żałobny rapsod" Czesława Niemna (przepraszam, w radio mówią: Niemena), i Cypriana Norwida (w takiej kolejności nazwisk, zgodnej z przyjętym w muzyce zwyczajem, ale jednak trochę szokującej, zapowiadano ten utwór, w takiej też kolejności widnieją oba nazwiska na kopercie płyty) — doszedłem do przekonania, że „coś w tym jest" i że warto ten longplay przegrać na taśmę magnetofonową i dokładnie przeanalizować. Tak też zrobiłem, a teraz pragnę przekazać czytelnikom wyniki tej analizy.

„Bema pamięci żałobny rapsod" należy do tych utworów Norwida, które stosunkowo często pojawiają się w programach imprez recytatorskich, ale rzadko bywają wykonywane dobrze. Interpretacja tego wiersza nasuwa bowiem poważne trudności. Wynikają one przede wszystkim z rytmiki utworu. „Rapsod" jest utrzymany w rzadko występującym w poezji polskiej rytmie, który stanowi polski odpowiednik antycznego heksametru. Konkretnie jest to wiersz piętnastosylabowy, złożony ze stóp dwu- i trójsylabowych, trocheicznych i daktylicznych. Rozkład stóp i akcentów jest w nim w zasadzie stały, a średniówka przypada zawsze po siódmej sylabie. Najlepiej unaoczni to przykład:

średniówka

trochej daktyl trochej daktyl daktyl trochej
Cze mu, cie niu, od jeż dżasz, rę ce zła maw szy na pan cerz

Interpretator „Rapsodu" musi więc, niezależnie od troski o oddanie niezwykle bogatej zawartości myślowej i uczuciowej tekstu, dołożyć starań, by przekazać słuchaczom jego charakterystyczny rytm, unikając jednak przy tym wszelkiej przesady (np. skandowania). Nie jest to łatwe zadanie i tylko prawdziwi artyści słowa są w stanie mu sprostać.

Jeszcze większe trudności piętrzą się przy interpretacji wokalnej poematu, bo wchodzi dodatkowo w grę konieczność utrzymania pewnego rodzaju równowagi między muzyką i śpiewem a tekstem, osiągnięcia tego, by podkreślały one piękno wiersza, a nie zacierały go i nie przygłuszały. Czy się to Niemnowi powiodło?

Nie jestem krytykiem muzycznym, nie mogę więc ocenić kompetentnie podkładu muzycznego i śpiewu Niemna w jego interpretacji „Rapsodu". Mogę tylko powiedzieć, że w moim osobistym odczuciu jest to muzyka godna Norwida, świetnie wprowadzająca w nastrój wiersza, ułatwiająca słuchaczowi przeżycie wizji tego monumentalnego — w skali homeryckiej — żałobnego pochodu. Efektowna, ale nie efekciarska. Patetyczna, ale bez przesady. Dostatecznie dyskretna, by nie zagłuszać słów. Dopiero pod koniec utworu harmonia ulega zakłóceniu i akompaniament staje się za głośny. Także w śpiewie prawie się nie zaznacza tak charakterystyczne dla tego piosenkarza silenie się na dziwaczne efekty, jak na przykład operowanie falsetem itp. Dodajmy, już z polonistycznego punktu widzenia, że również dykcja Niemna w „Rapsodzie" nie nasuwa poważniejszych zastrzeżeń. Jest ona, co bardzo ważne, wyrazista: nawet słuchacz, który nie czytał tego wiersza, rozumie bez większych trudności śpiewany tekst, dopóki go pod koniec nagrania nie zacznie zagłuszać za głośne brzmienie orkiestry. Jedyny zauważony przeze mnie poważny błąd dykcyjny — to wymowa DIEM zamiast: Di-EM w łacińskim motcie, śpiewanym zresztą nie przez Niemna, lecz przez towarzyszący mu zespół.

Istotne wątpliwości występują dopiero przy zastanawianiu się nad rytmiką „Rapsodu" w interpretacji Niemna. Po pierwsze — przechodzi on do porządku dziennego nad wskazówkami, jakich w tej mierze udzielił sam poeta, stosując odpowiednią interpunkcję (myślniki!) i podkreślając niektóre partie tekstu. Po drugie — nie liczy się z tym, że rytm „Rapsodu" to heksametr, nie przestrzega jego rygorów, szczególnie zaś stałego miejsca średniówki, zamiast krótkiej najczęściej wprowadza dwie dłuższe pauzy rytmiczne w wierszu (zamiast: „Przy pochodniach, co skrami — grają około twych kolan" — „Przy pochodniach — co skrami grają — około twych kolan" itd.), co oczywiście nadaje utworowi zupełnie inną rytmikę.

Mają więc rację krytycy, którzy twierdzą, że Norwid by protestował przeciw takiemu zniekształceniu rytmu „Rapsodu". Nie sądzę jednak, by protestował zbyt ostro, bo — sam będąc nowatorem — z pewnością byłby w stanie docenić nowatorstwo (mniejsza o to, że nie najwyższej klasy), którego wyrazem jest interpretacja Niemna. Piękno norwidowskiego wiersza bowiem zostało w niej, mimo wszelkich zastrzeżeń, jakie może ona budzić, przekazane słuchaczom, choć z pewnością inaczej, niżby sobie tego życzył poeta.

Fot. R. Jaworski

OBIEKTYW

FOGG I ZŁOTY PIERŚCIEŃ

Nie piszę tego felietonu z sympatii dla Fogga. Osobiście za nim nie przepadam, choć memu dzieciństwu towarzyszyły w warstwie akustycznej szlagiery chóru Dana i wibrujący, aksamitny (wówczas) głos Fogga, śpiewającego piosenki w rodzaju:

Więc czyżbyś, Hanko, już zapomniała,
Jak przy księżycu mnieś całowała...

To „mnieś" było zresztą rozczulające, ale nie o przedwojennej piosence chcę pisać. Wbrew pozorom nie będzie tu mowy o sprawach ściśle muzycznych, ale o pewnym ewenemencie społecznym, kryjącym się pod kryptonimem Fogg.

Nie tak dawno oglądaliśmy na ekranach występ pana Mieczysława w czasie festiwalu piosenki żołnierskiej w Kołobrzegu. Licznie zgromadzona publiczność, w większości młodzieżowa (to ważne!), oklaskiwała nestora piosenkarzy gorąco, urządzała dlań wiwaty i śpiewy „Sto lat", a jury konkursowe przyznało mu najwyższe wyróżnienie festiwalu — Złoty Pierścień.

Dało mi to wówczas do myślenia. Potem Fogg występował jeszcze w telewizji, więc rozmyślałem dalej i tak zrodził się ten felieton. Zawsze pasjonowały mnie źródła sukcesu, dużej artystycznej kariery. W wypadku Fogga — powiem to może brutalnie — już nie strona wykonawczo-muzyczna jest przyczyną niesłabnącego powodzenia u publiczności. Głos już nie ten, co więcej, i słuch muzyczny już nie ten... A więc?

Fogg jest piosenkarzem sentymentalnym. Posiadł nie od dziś umiejętność „zaginania palca pod sercem" ludziom (że użyję zwrotu romantycznego poety). Pamiętam latem, czy wczesną jesienią w 1945 roku zawędrowałem do małej kawiarenki otwartej w parterowej wówczas ulicy Marszałkowskiej. Przy paru stolikach grupka obdartych warszawiaków, po obozach, zsyłkach i tułaczce. I nagle pojawił się on. Przebrał się na ten występ w plamistą panterkę, taką jakie nosili powstańcy warszawscy, założył nawet na ramię biało-czerwoną opaskę z literami „WP".

Śpiewał prostą piosenkę — „Serce w plecaku" — piosenkę, która zrosła się z Powstaniem. To już nie był występ piosenkarza. To była narodowa msza święta. Sam czułem drapanie w gardle, choć byłem na siebie o to wściekły, bo uważałem, że ta inscenizacja nie jest w najlepszym guście.

Potem czasy się zmieniły. Dorastało nowe pokolenie, które nie podkładało pod piosenki Fogga kanwy własnych wspomnień, nie ubarwiało ich urokami minionej młodości. Ci starsi, dla których Fogg był kawałkiem ich młodości, którzy witali go ze wzruszeniem nie tylko na estradach polskich, ale w Stanach Zjednoczonych, Australii i innych zakątkach świata, dokąd los rzucił Polaków, nie stanowili już większości jego słuchaczy.

I wracam do pytania, skąd powodzenie Fogga u tej młodszej części publiczności, która na co dzień przedkłada rytmy beatowe, która nie pozwala sobie narzucić gustów „przedwojennej młodzieży" (to określenie zastąpiło niemodne już pojęcie „wapniacy")? Odpowiedzi szukać należy moim zdaniem, nie w sferze gustów artystycznych, czy estetycznych, ale w dziedzinie socjologicznej.

Bunt młodych przeciw dawnym konwencjom nie oznacza zerwania z wszelką tradycją. Gdzieś głęboko tkwi przywiązanie do tej tradycji, co więcej, poczucie dumy z tego, że ta bogata tradycja istnieje. Fogg jest wyraźnym eksponentem tradycji. Zetknięcie z nim pozwala młodszemu pokoleniu jak gdyby przybliżyć się do starszych. To rodzaj pomostu między dawnymi i dzisiejszymi czasy.

Te sprawy działają na korzyść Fogga już niezależnie od jego subiektywnych zamiarów. Im dłużej będzie śpiewał na estradzie, do mikrofonu i przed kamerami telewizyjnymi, tym bardziej stawać się będzie pewnym znakiem, symbolem sąsiedztwa czasów: czasu teraźniejszego i czasu przeszłego. Darujemy mu nawet małe fałsze w śpiewie. Nie o to nam bowiem chodzi. Od wrażeń ściśle estetycznych mamy Demarczyk, German, czy Rodowicz.

A Fogg? Fogg zbliża się coraz bardziej do roli Solskiego naszej estrady... Sto lat!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

FILM Mario Monicelli'ego „DZIEWCZYNA Z PISTOLETEM" przybywa do nas w splendorze wielu nagród. Wieńczą go mianowicie nagrody międzynarodowych festiwali filmowych w San Sebastian i w Taormine oraz „Srebrna Wstęga" krytyków włoskich. Lecz są to wszystko nagrody nie dla filmu, tylko dla odtwórczyni roli tytułowej, Moniki Vitti, która objawia się — polskim widzom po raz pierwszy — jako znakomita komiczka współczesnego kina. Recenzenci porównują stworzoną przez Monikę Vitti Sycylijkę Assuntę Patane, czarnowłosą obrończynię własnej cnoty i honoru — z bohaterką „La Strady" Felliniego, Gelsominą Giulietty Massiny. Równa rangą kreacji Massiny, rola Moniki Vitti różni się od poprzedniczki charakterem i środkami aktorskimi. Monica Vitti pomaga sobie strojem i czarnym sycylijskim warkoczem jedynie w pierwszej części filmu, potem zmienia suknie i fryzury, a pozostaje nieodparcie śmieszna przez ruch i gesty. Wolno sądzić, iż jest to nauka wyniesiona z długoletniej pracy pod kierunkiem męża, wielkiego Antonioniego, który traktuje aktora jako element obrazu i wydobywa cechy indywidualne postaci przez sposób, w jaki postać j e s t w otoczeniu. Zaś „bycie" w filmie oznacza, jak wiadomo, przede wszystkim ruszanie się.

Jednakże Monica Vitti jest nie tylko niepowtarzalnie, indywidualnie zabawną Sycylijką z pistoletem. Jest czymś więcej: jest typem. Wykorzystany w filmie motyw dziewczyny, która szuka zemsty na uwodzicielu, należy do bardzo starych motywów literackich. Niedawno mieliśmy okazję oglądać jego wydanie siedemnastowieczne w sztuce Calderona „Życie jest snem", granej w Teatrze Nowym. Przeświadczenie o świętości dziewiczej cnoty, które zrodziło ów motyw, nie traci na ważności także w wydaniu dwudziestowiecznym. Tyle, że zemsta przebiega obecnie inaczej, zgodnie z wymogami aktualnego obyczaju, a także idei równouprawnienia kobiet. Naturalnie, w takim układzie istnieje konflikt treści i formy, czyli przeświadczenia i wykonania. Monica Vitti podchwytuje go nieomylnie, staroświecka z ducha, okazuje się postępowa w zachowaniu i upodabnia się do większości współczesnych dziewczyn, które również potrafią odpłacać się pięknym za nadobne.

* ★ *

FILM Petera Collinsona otrzymał polski tytuł nieco mylący: „ŻYCIE W BATTERSEA", co mogłoby zapowiadać obraz dokumentalny. Tymczasem mamy do czynienia z dziełem, któremu nie zależy na odtworzeniu rzeczywistości widzianej obiektywnie. Odwrotnie, dąży ono do oddania rzeczywistości psychologicznej, pragnień i nastrojów, które uchodzą dziś za pragnienia i nastroje młodego pokolenia na Zachodzie, a do nas docierają pod ogólnym mianem „kontestacji". Oryginalny tytuł angielski „Up the Junction" wydaje się bardziej trafny. Prawie nieprzetłumaczalny na język polski, oznacza chęć połączenia, zespolenia, jedności, zatem chęć czegoś, czego młodzieży Zachodu brakuje szczególnie dotkliwie. Twierdzi ona, że czuje się osamotniona. Osamotniona i odarta z międzyludzkiej więzi — gdyż odepchnęła od siebie rodziców, nauczycieli, w szerszym znaczeniu środowisko, w którym wyrosła, oraz z tradycji — gdyż poddała w wątpliwość jej dorobek. W miejsce rodziców szuka nowych, nie skompromitowanych przyjaciół i niekiedy ich znajduje. Poglądy tradycyjne jest jednak w stanie zastąpić zaledwie zalążkiem nowego programu pozytywnego, w którym — przynajmniej według diagnozy „Życia w Battersea" — ideał antykonsumpcji idzie w parze z postulatem szczerości przeżywania.

Bohaterka „Życia w Battersea" porzuca więc „porządną" londyńską dzielnicę Chelsea i przenosi się na drugi brzeg Tamizy do dzielnicy robotniczej. Przyjmuje pracę w fabryce i wiąże się uczuciem z chłopcem prostym, który także sam zarabia na siebie. Jej literackim pierwowzorem jest Holden Caulfield z powieści Salingera „Buszujący w zbożu". Zaś na gruncie filmowym dzieje bohaterki i ich pointa zdają się repliką na wcześniejszy film angielskiej „nowej fali", „Z soboty na niedzielę". Z tą różnicą, że tam spotkaliśmy młodego robotnika, który nie mieścił się w swojej klasie, a tu psychiczną niewygodę pozostania w własnym środowisku odczuwa panienka z lepszej sfery.

„Życie w Battersea" pióra Nell Dunn było najpierw spektaklem telewizyjnym i zdaniem krytyków angielskich w telewizyjnej, kameralnej wersji miało więcej zalet niż obecnie, w wersji barwnej i szerokoekranowej. Wbrew temu myślę, że szeroki ekran i kolor dobrze nadają się do tematu i dobrze zostały wykorzystane przez realizatorów. W końcu, tak nastolatkowi Holdenowi, jak nieco starszej od niego bohaterce omawianego filmu chodzi o poznanie niesfałszowanego smaku życia, na który również kino z samej swej natury potrafi być wrażliwe.

ZASTĘPCA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

NICOLAS DE STAËL

Nazywał się tak samo jak słynna pisarka francuska żyjąca na przełomie XVIII i XIX wieku Madame de Staël. Był potomkiem jej bliskiego krewnego. Zmarł tragicznie w nie dość wyjaśnionych okolicznościach, mając lat 41. Jego życie było jedną wielką przygodą malarską, pasją, od której nie zdołały go odciągnąć ani straszliwa nędza, ani zdobyte później bogactwo.

Dziś Nicolas de Stael ucho dzi dla wielu znawców sztuki za najbardziej oryginalnego malarza swej generacji. Jego pośmiertna sława jest bez precedensu, jego płótna osiągają rekordowe ceny — czytamy w tygodniku „Paris—Match".

Nicolas de Stael urodził się w Petersburgu w roku 1914 jako syn wysokiej rangi wojskowego w carskiej służbie. Po Rewolucji, gdy mały Nicolas ma lat pięć, wyjeżdża z rodzicami za granicę, do Belgii. Spędza tu dzieciństwo i wczesną młodość. Kształ

Nicolas de Stael w Antibes. Fotografia zrobiona w dniu poprzedzającym jego śmierć.

ci się w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Potem wiele podróżuje po Hiszpanii i północnej Afryce. Przez jakiś czas jest żołnierzem w Legii Cudzoziemskiej. W roku 1937 w Marakesz w Maroku spotyka swą wielką miłość. Jest nią Jeannine Guillou, malarka, która ma syna z pierwszego małżeństwa. W roku 1940 cała trójka, (Jeannine już jako żona) przybywa do Nicei. Jeanni ne sprzedaje swoje obrazy, Nicolasowi nie udaje się sprzedać ani jednego swego płótna. Zarabia u stolarza, robi dekoracje dla kabaretu i maluje, nadal maluje. Marzy by wyjechać do Paryża, tego miasta cudów Mekki wszystkich artystów, gdzie na pewno poznają się na jego talencie. Toteż w roku 1943 Nicolas z żoną i pasierbem są już w Paryżu. Ale cud jeszcze nie nadszedł. Pełne słońca, barwnych plam, ciekawych zestawień kolorów, obrazy niezwykle oryginalne (powiedział kiedyś: „Nie maluje się tego co się widzi, ale wstrząs jakiego się doznaje") nie cieszą się uznaniem ani krytyki, ani miłośników sztuki. Straszliwa nędza zaczyna gnębić jego i rodzinę. Gdy nie ma czym ogrzać swego skromnego mieszkania, rąbie na opał schody, gdy tego nie starcza, pali meble. Gdy nie ma pieniędzy na płótna, maluje na obrusie, gdy nie ma już obrusów, maluje na prześcieradłach. I wreszcie pierwszy sukces. W roku 1945 ma swą wystawę i sprzedaje pierwsze obrazy. Niestety Jeannine nie doczekała się pełni sukcesów swego męża. Wyczerpana nędzą umarła w lutym 1946 roku. Jej pogrzeb Nicolas opłacił z pieniędzy za swe pierwsze sprzedane obrazy. W trzy miesiące później Nicolas zakochuje się w nauczycielce swego pasierba, Francoise Chapouton. Wkrótce ją poślubia.

Niemal przypadkiem Nicolas de Staël poznaje jednego z marszandów amerykańskich. Ten urządza jego wystawę w Stanach Zjednoczonych w roku 1951. Nareszcie większy sukces. Sypią się zamówienia. Następuje nagła zmiana w sytuacji materialnej malarza. Nicolas de Staël staje się wkrótce tak zamożny, że w roku 1953 kupuje stary zabytkowy zamek. I maluje, wciąż maluje. W roku 1955 wczesną wiosną wynajmuje w Antibes, kąpielisku na Riwierze, starą ruderę, gdzie wiatr hula po izbach. Ale za to widok z okna jest cudowny. Tuż pod oknem, nisko, jest falochron. Maluje, wciąż maluje.

W dniu 16 marca znajdują go ludzie nieżywego. Spadł na falochron. Czy wypadł przez nieostrożność?

Nicolas de Stael — Portret żony Jeannine.

Samobójstwo? Nigdy się tego nie dowiemy. List datowany z tego samego dnia, adresowany do jednego z marszandów zawierał m. in. słowa: „Nie mam siły skończyć moich obrazów".

Nicolas de Stael: Latarnia morska w Antibes

II MIĘDZYNARODOWE BIENNALE CERAMIKI ARTYSTYCZNEJ

W Vallauris we Francji otwarte zostało II Biennale Ceramiki Artystycznej, które zgromadziło ponad trzysta dzieł stu sześćdziesięciu czterech artystów z 27 krajów świata. Ekspozycja jest więc przeglądem współczesnych osiągnięć światowych w tej dziedzinie sztuki. Nigdy jeszcze nie pokazano razem tylu eksponatów ceramicznych, dzieł tylu artystów z tylu krajów. Wystawa unaocznia ogromne, niemal nieskończone możliwości sztuki ceramicznej. Na nagrody przeznaczono 22.500 franków, prócz tego medale złote i srebrne. Po 10 tys. franków każdy, otrzymali artyści francuscy Roger Carpon i Nicole Giroud. Dalsze nagrody zdobyli m. in. Japończycy Osamu Suzuki i Yoshitaka Yasuhara. Nagrodę 4 tys. franków otrzymali Polacy: Janina Karczeńska i Stanisław Konieczny. Ponadto wśród laureatów figurują artyści radzieccy, meksykańscy, indyjscy, greccy, bułgarscy, szwajcarscy, włoscy, węgierscy, amerykańscy, belgijscy, wenezuelscy, kubańscy, hiszpańscy i niemieccy.

SZTUKA MURZYŃSKA WIDZIANA OCZYMA MŁODYCH FRANCUZÓW

W paryskim Muzeum Człowieka została ostatnio otwarta ciekawa wystawa zatytułowana: „Sztuka afrykańska widziana przez młodych". Wystawa jest wynikiem pewnego ciekawego eksperymentu przeprowadzonego przez wykładowców szkoły sztuk pięknych w Aix-Marseille przy udziale studentów tej uczelni.

Otóż przez cztery miesiące wykładowcy szkoły przygotowywali słuchaczy do dokładnego zapoznania się ze sztuką afrykańską. Studenci zwiedzili dokładnie wystawę sztuki afrykańskiej, przestudiowali szereg książek na temat tej sztuki, oglądali odpowiednie przeźrocza, zapoznawali się z danymi geo-

graficznymi i etnograficznymi krajów gdzie sztuka ta kwitnie. Po czterech miesiącach takich studiów postawiono przed młodymi artystami następujące zadanie: mają sami wykonać dzieła sztuki w stylu i rodzaju oglądanych oryginałów. Nie mogą to być jednak kopie lub naśladownictwa, ale dzieła inspirowane jedynie przez przestudiowane materiały. Wybór tworzywa dowolny. Tak powstało 200 ciekawych dzieł. Są to głównie rzeźby i grafika.

„CUDZOZIEMKA PRZYBYŁA NAGA"

To miał być żart. Trzynastu amerykańskich dziennikarzy napisało książkę, która miała być parodią literatury pornograficzno-sensacyjnej. Każdy z tych

trzynastu autorów napisał tylko po 20 stronic. Razem złożyła się powieść, którą wydano pod tytułem: „Cudzoziemka przybyła naga". Książkę wydano w Stanach Zjednoczonych jako dzieło niejakiej Penelope Ashe. I oto stała się rzecz nieoczekiwana — książka została rozchwytana. Trzynastu autorów ogłosiło wtedy historię powstania powieści i ich zamiar ośmieszenia tandetnej literatury. Bynajmniej nie zahamowało to poczytności książki. Wprost przeciwnie.

Jeden z francuskich producentów filmowych, Raoul Ploquin zachęcony sukcesami „Cudzoziemki" chciał ją przenieść na ekran, ale kiedy złożył autorów powieści ofertę kupienia praw do sfilmowania okazało się, że ubiegła go już pewna amerykańska wytwórnia filmowa. Ploquin musiał więc pocieszyć się tym, że uzyskał prawo na tłumaczenie powieści na język francuski. Książka pt. „L'etrangere est arrivee nue" rzekomej autorki Penelope Ashe ukazała się właśnie na półkach księgarskich we Francji.

Bez strachu

Taxus baccata

Wyjąłem z kieszeni karteczkę z napisem „Taxus baccata". Cis — drzewo chronione. To pod tym cisem w Zakopanem siadywałem i rozmawiałem lub milczałem z różnymi ludźmi. Pamiętam kobietę w białej sukni, która mówiła o świecie swoich przeczuć, swoich snów — moje przeczucia, moje sny były inne. Pomyślałem: „Ty nigdy mną nie będziesz, ja nie będę Tobą" i kobieta w białej sukni zniknęła w czasie. Teraz siedzę obok brodatego człowieka, który mówi: Pan przecież w ogóle nie wie co to znaczy „być mną". Kontakty między nami są lingwistyczne, a nie poznawcze..." i brodaty człowiek przemija, a ja siedzę pod drzewem... Przychodzi mężczyzna — racjonalista i kobieta, zwolenniczka mistyki. Mężczyzna pije piwo, kobieta mówi w ekstazie — wszystko jednoczego dotyczy ekstaza kobiety, wszystko jednoczego dotyczy racjonalizm mężczyzny, już odeszli, a ja siedzę pod drzewem. Przychodzi ktoś, kto mówi: „Byłem w Brazylii, tam są drzewa sto, tysiąc razy większe niż ten cis, widziałem tam małe rybki, które w ciągu trzech minut obedrą z Pana mięso tak, że zostanie tylko szkielet. Jest tam i ryba-byk, która wysuwa z wody głowę i żywi się trawą. A w głębi puszczy, ile jest tam nieznanych zwierząt, nieznanych ludzi, kto wie, może stworów, które już nie są zwierzętami, a jeszcze nie są ludźmi". Przychodzi człowiek w czapce i mówi: „Bzdury, ważne jest tylko ludzkie zwierzę. Czy Pan wie, że nauka obecnie powraca do hipotezy eteru — próżnia nie istnieje, nigdy nie istniała, ani próżnia moralna, ani próżnia fizyczna. Otóż my odejdziemy z tego miejsca i po roku, po dziesięciu latach będzie można nas, tu teraz rozmawiających, filmować, odtwarzać nasz głos. Więcej, Radziwiłł „Panie Kochanku„ powiedział prawdę, kiedy mówił o trąbach, których głosy zamarzły, gdy zadęto w nie zimą i zadźwięczały, gdy odtajały wiosną. Wydobędziemy z czasu i usłyszymy głos Aleksandra Macedońskiego... czy słyszy Pan?". „Jeszcze nie" odpowiedziałem i człowiek w czapce odszedł. Przyszła piękna dziewczyna — malarka i była piękna przez czas swojej obecności, później, gdy odeszła, nie mogłem już potwierdzić jej urody i przyszedł człowiek, który zapragnął wszystko obliczyć matematycznie i udowodnić statystycznie. I przyszedł człowiek, który powiedział, że ten trud jest zbyteczny. Przychodziło jeszcze wielu i odeszli w sposób zupełny tak, że nie mogłem stwierdzić ich śladów w dookolnej przestrzeni. Potem przyszedł brodaty człowiek w mundurze, zasalutował i powiedział: „Jestem Strażnikiem tatrzańskich parków przyrody — tutaj nie wolno siedzieć". Musiałem i ja odejść. Strażnik był nieubłagany, wskazywał mi palcem zamgloną, jedynie dostępną dla mnie drogę. Odszedłem, potykając się o kamienie, taxus baccata — drzewo chronione zostało za mną.

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

OGÓRKI I BEZMYŚLNOŚĆ

LUDZIE TO KUPIĄ — KIOSK Z MATURAMI — NAUCZYCIELSKIE WILLE? — GDZIE PROKURATOR? — PODEJRZLIWYM WZROKIEM — CZY ZASŁUŻYLI? — WYSTARCZY BEZMYŚLNOŚĆ

Kanikuła czyli tzw. „ogórki" są w prasie zjawiskiem równie starym co trudności w handlu zwane potocznie przejściowymi. Kanikuła w prasie ma zresztą ścisły związek z handlem — nakłady pism spadają, zwroty rosną, trzeba więc czytelnika nakarmić strawą lekką, łatwą i przyjemną, w myśl zasady: „ludzie to lubią, ludzie to kupią". Nie ma w tej kanikularnej polityce gazet nic zdrożnego — jest to normalna i chwalebna troska o czytelnika, który bądź urlopuje, bądź pracuje na zwolnionych obrotach.

Źle się jednak dzieje, jeśli w „ogórkowym" amoku, w promieniach sierpniowego słońca wybucha w gazecie sensacja szkodliwa. Warszawski tygodnik „Kulisy" (nr 30) wystąpił niedawno z publikacją pt. „Kiosk z maturami". Jest to opowieść ucznia liceum dla dorosłych, który zmuszony przez perfidnych nauczycieli robi wreszcie maturę, ale kosztuje go ona... 10 tys. złotych. Czegóż w tej pięknie spreparowanej historii nie ma! Za nowoczesny radioodbiornik — pozytywna ocena z polskiego, za wymalowanie willi (sic!) nauczycielowi — ściąga na egzaminie pisemnym z matematyki, za żelazo zbrojeniowe dla budowy nauczycielskiej willi (!!!) — specjalne względy...

Dawno już nie czytałem podobnie bezmyślnej publikacji. Redakcja twierdzi, że wszystkie opisane fakty są prawdziwe. Redakcja twierdzi, że sprawa jest wyjątkowa, lecz mimo to wymaga napiętnowania, by odosobnione skandale nie rzucały cienia na dobre imię polskiej szkoły.

Bardzo to pięknie powiedziane, ale cień został rzucony w piśmie o nakładzie 200 tysięcy egzemplarzy. Nie jest także dla nikogo tajemnicą, że „Kulisy" adresowane są głównie do czytelnika dla którego argument „w gazecie stojało" będzie właśnie jedynym powodem do czynienia krzywdzących uogólnień. Publikacja, która miałaby szansę w „Kulturze" czy „Prawie i Życiu" stać się ilustracją marginaliów — w odczuciu czytelnika szlagierowych „Kulis" będzie oskarżeniem środowiska nauczycielskiego.

Nic tu nie pomogą zastrzeżenia redakcji nic nie pomogą uwagi na temat dobrego imienia polskiej szkoły. Kanikularna bezmyślność każe publikować brednie o nauczycielskich willach, o nacisku wywieranym przez nauczycieli, o żądaniach świadczeń i łapówek. Nie ma powodu nie wierzyć redakcji „Kulis", że jest gdzieś taka szkoła i tacy nauczyciele. Jeśli tak, to przypuszczam, że w sprawę wkroczył już prokurator i władze oświatowe. Ale robienie z tego sensacji na pierwszą kolumnę popularnego pisma, nadawanie sprawie cech sensacji, jest społecznie szkodliwe, krzywdzi nauczycieli, poddaje w wątpliwość społeczną rangę zawodu. Trudnego zawodu, niewdzięcznego zawodu.

Ktoś mądry powiedział kiedyś, że istnieją dwa zawody w stosunku do których publiczna krytyka winna być niezwykle ostrożna. Te zawody to nauczyciel i lekarz. Rola i ranga tych zawodów w społeczeństwie są tak olbrzymie, zaufanie społeczne — tak podstawowym warunkiem ich działania, że wywlekanie wynaturzeń i wykroczeń, które mogą się przecież zdarzyć, bo zdarzają się w każdej grupie zawodów — jest szkodą społeczną, przynosi niepowetowane straty.

A przecież — nie czarujmy się — w odczuciu bardzo wielu ludzi ranga społeczna zawodu nauczyciela nie jest wysoka. Przeciętny czytelnik „Expressu" i „Kulis" wyżej stawia dobrze zarabiającego taksówkarza niż źle zarabiającego nauczyciela. Dawanie takiemu czytelnikowi sensacyjnej pożywki o przestępczej działalności „maturalnego gangu" obniża jeszcze bardziej ową rangę, którą choć niedoceniana, jest jednak niewątpliwa. „Mało zarabiają — powie czytelnik „Kulis" po przeczytaniu „Kiosku z maturami" — ale mają „boki" i budują sobie wille". Cóż z tego, że to margines, choć nawet traktując opowieść jako margines — to relacja ucznia brzmi także mocno nieprawdopodobnie. Cóż z tego, że zaopatrzono publikację w zastrzeżenia o wyjątkowości i odosobnionym skandalu. Osiemset tysięcy czytelników „Kulis" (licząc, że jeden egzemplarz czytają cztery osoby), spojrzy na trudny, niewdzięczny zawód nauczycielski podejrzliwym wzrokiem.

Czy na to zasłużyli nauczyciele? Te tysiące młodych i starych, borykających się z trudnym zadaniem wychowania uczniów i jeszcze trudniejszym zadaniem... wychowania rodziców? A przecież współczesny system szkolny, zakładający szeroką współpracę szkoły z domem, nakłada na nauczycieli także i to drugie — jakże niewdzięczne — zadanie. Jak jego realizacja może wyglądać przy pomocy kanikularnych sensacji popularnego magazynu?

Dawno już nie czytałem z podobną irytacją publikacji w naszej prasie. „Kiosk z maturami" można by nazwać absolutnym niewypałem dziennikarskim, gdyby nie fakt, że jest to, niestety, „wypał". Chcę wierzyć, że nie zamierzony. Mam też nadzieję, że redakcja „Kulis" poinformuje nas jak się ten odosobniony skandal skończył. Chociaż... Autor paszkwilu pisze przecież: „gdyby przyszło co do czego — nie przyznam się, choćby mnie kołem łamano..." Pewno — opluć, oczernić — to można, na to nie trzeba dowodów i odwagi cywilnej. Na to wystarczy bezmyślność.

JERZY WIDOK

TIM MORRISON

Porwanie

Dokończenie

— Może to jakiś dawny pani adorator? Może matka źle się do niego odnosiła?

— Matka nigdy nie wtrącała się do moich spraw osobistych, nie traktowała moich flirtów poważnie. Myślę raczej, że chodzi tu o jakiegoś mężczyznę, które go ja odrzuciłam i który pragnął zemścić się przede wszystkim na mnie.

— Chciałbym teraz zobaczyć pani męża, musi złożyć zeznanie. Gdzie państwo przebywaliście w Meksyku?

— W Concho Bay. To prawdziwy raj na ziemi.

* * *

Sierżant badał już od kilku godzin Sama Ducketta. Sam był zmęczony i wystraszony. Gloria zobaczywszy go zbladła. — Sammy... wyszeptała.

— Niech pani siada — poprosił sierżant. — Z listy adoratorów, którą nam pani podała, został tylko Sam Duckett. Innych wyeliminowaliśmy z różnych względów. Pan Duckett ma głos podobny do tego, który słyszała telefonistka kliniki. Miał także powody, żeby pragnąć zemsty.

— Nie rozumiem — zdziwiła się Gloria.

— Matka Sama, pani Barbara Duckett, odnosiła się z nienawiścią do Nice Willmont i tę nienawiść wpoiła synowi. Dlaczego? Jako młoda osoba zaręczyła się z pani ojcem, który był przystojnym i bogatym człowiekiem. Potem zjawiła się Nice Willmont i stracił dla niej głowę. Porzucił narzeczoną i wkrótce poślubił Nice. Lecz Barbara nigdy mu tego nie przebaczyła. Po śmierci pani ojca przelała całą nienawiść na panią matkę, uważając, że zniszczyła jej życie. Albowiem Barbara poślubiła człowieka wykolejonego, przeżywała jedno rozczarowanie po drugim.

— Sam Duckett mówił, że mnie kocha — wtrąciła Gloria.

— W rzeczywistości łudził się nadzieją, że poślubiając panią, poprawi finanse swej rodziny, uspokoi matkę i przywróci jej to, co straciła... Gdy pani go porzuciła, nienawiść Sama wzrosła. Miał więc dwa motywy zemsty i pomścić swoją matkę zabijając panią Willmont i pomścić siebie, pogrążając panią w żałobie.

W oczach Sama ukazały się łzy. Gloria przyglądała mu się zdumiona.

— Chyba nie wierzysz w to wszystko, co powiedział ten zwariowany sierżant, prawda Gloria? — zapytał drżąc.

— Znam cię dobrze, Sammy, ty nie możesz być zbrodniarzem. Nie byłeś specjalnie interesującym mężczyzną, ale zbrodniarzem na pewno nie jesteś.

Sam zwrócił się do sierżanta: — Czy pan słyszy? Także i ona mnie broni. Tylko pan podtrzymuje te absurdalne oskarżenia! Ja nigdy nie telefonowałem do pani Willmont. Czyż mogłem wiedzieć, co robi Gloria? Gdzie przebywa? Nawet nie interesowałem się tym.

W tym momencie zadzwonił telefon. Sierżant podniósł słuchawkę. — Kto mówi?

— Jestem Nat Kampi, chciałbym rozmawiać z żoną.

Sierżant zadrżał, ścisnął mocno słuchawkę. Zamiast zwrócić się do Glorii, przywołał miss Rowland. Telefonistka wzięła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha. Usłyszała głos, który mówił: — Czy to Gloria? Odpowiedz! Dlaczego nie przychodzisz? O co cię pytają?

Annie podała słuchawkę sierżantowi. Rzekł: — Przepraszam lecz nie możemy spełnić pana życzenia, byłoby to wbrew regulaminowi. — To mówiąc przerwał rozmowę.

Potem sierżant zwrócił się do Sama Ducketta: — Zbadam jeszcze pana sprawę. Tymczasem nie zatrzymuję pana, lecz proszę nie wydalać się z miasta. Ucieczka oznaczałaby przyznanie się do winy.

Sierżant pożegnał się także z Glorią. Jeszcze ją przedtem zapytał:

— Jak się nazywa ten rajski zakątek, w którym przebywaliście w czasie waszego miodowego miesiąca?

— Concho Bay. Dlaczego?

— Nigdy nie wiadomo — uśmiechnął się sierżant — czy pewnego dnia także i ja nie zechcę przeżyć drugiego miodowego miesiąca z moją żoną.

Gloria wyszła, a sierżant wszedł do pokoju miss Rowland i spojrzał jej w oczy. Skinęła głową.

* * *

— Kto tam przyszedł, skarbie? — zapytała Gloria. Ktoś dzwonił i Nat poszedł otworzyć.

— Sierżant Gey — odpowiedział Nat. Potem zwrócił się do policjanta: — Proszę wejść. Właśnie przygotowywaliśmy drinka, napije się pan z nami?

— Nie, dziękuję, w czasie służby nie wolno pić alkoholu.

— Czy to znaczy, że pan przyszedł do nas służbowo? — zapytała Gloria.

— Tak, służbowo.

— Słyszałam, że pan wyjeżdżał. Czy na małe wakacje?

— To nie były wakacje. Pojechałem do Concho Bay. Jaka to piękna miejscowość, pani miała rację. Naprawdę zawiozę tam kiedyś swoją żonę.

Gloria już się nie uśmiechała, nie podobał jej się wyraz twarzy policjanta. Dziwna także wydała się wzmianka o Concho Bay oraz sposób, w jaki spoglądał na Nata Kampi.

— Niestety, wątpię, czy moje finanse pozwolą mi na tę wycieczkę — ciągnął dalej sierżant. — To jest miejsce dla milionerów, takich jak wy. Chociaż mam dużo pracy, rozejrzałem się tam po różnych zakątkach.

— Miał pan dużo pracy w Concho Bay? — zapytała Gloria.

— Tak — stwierdził Gey. — Musiałem ustalić z którego miejsca w Concho Bay zatelefonowano do kliniki doktora Millera.

— Zatelefonowano? — krzyknęła Gloria. Nagle zabrakło jej tchu i zbladła.

Nat Kampi odwrócił się szybko, kieliszek z winem wypadł z jego ręki na podłogę.

— Niech pan się nie denerwuje, panie Kampi. Nie każde pragnienie się spełnia. — powiedział sierżant. — Czy był pan też zdenerwowany, gdy powstawał ów plan zamordowania Nice Willmont? Na pewno nie! Kierowało panem chłodne wyrachowanie. Wiadomo było, że Nice chorowała na serce. Wiedział pan także, że po waszym powrocie do domu uczyni wszystko, aby unieważnić małżeństwo swej córki. Był pan ostatnim człowiekiem na świecie, który zostałby przyjęty do jej domu jako zięć. Poza tym Gloria nie jest pełnoletnia, łatwo było unieważnić jej meksykańskie małżeństwo. Aby tego uniknąć musiał pan zlikwidować Nice Willmont. Najpierw zatelefonował pan do niej, że Gloria została porwana. Drugi telefon miał na celu przekonanie matki, że córka umarła. Cel został osiągnięty. Pani Willmont nie żyje, mogliście spokojnie powrócić do domu. Teraz już nie było nikogo, kto mógłby panu przeszkodzić w zagarnięciu olbrzymiego majątku Glorii.

Jednak pan sam się zdradził. Telefonistka szpitala słyszała oba telefony. Głos Sama Ducketta jest podobny do pańskiego głosu, ale to nie ten sam — jak twierdziła kilka razy telefonistka. Owego dnia, kiedy telefonował pan do mego biura, aby rozmawiać z Glorią, ja podniosłem słuchawkę i podałem ją miss Rowland. Nie miała już żadnych wątpliwości, że to głos człowieka, który zabił panią Willmont.

Natychmiast pojechałem do Concho Bay i wykryłem skąd pochodził telefon: z podrzędnej restauracji w porcie. Właściciel tego lokalu jest w każdej chwili gotów rozpoznać klienta, który prosił o połączenie telefoniczne. Klient nazywa się Nat Kampi.

Nat cofnął się, nie był już osłupiały i przerażony. W jego oczach pojawiła się zimna decyzja.

— Proszę nie robić głupstw — uprzedził go sierżant. — Dom jest otoczony przez policję, nie ma już wyjścia dla pana.

Oprac. A. S.

Fot. L. Janczak

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

- **MAREK WAWRZKIEWICZ — Miasta i miejsca**
- **KAROL BADZIAK — Jak ukraść milion?**
- **JERZY URBANKIEWICZ — Ciąg dalszy wielkiej wojny**

oraz

felietony, wiadomości ze świata, nowela kryminalna

Lewym okiem

POCZTO, POCZTO...

Daniel Passent wywołał niemało listów swoim artykułem na łamach „Polityki" o wrogości na co dzień. Pisał tam między innymi, że przejawem — przepraszam za słowo — zwykłego chamstwa jest nieodpisywanie na listy. Słowo jest Passenta, nie moje. Wiele instytucji i osób prywatnych nie odpowiada na listy. Niestety, nigdy nie można powiedzieć z całą pewnością, że adresat list otrzymał i że brak odpowiedzi jest świadectwem takiej czy innej cechy charakteru tegoż adresata. Przed rokiem ukazał się zbiorek niniejszych felietonów pod ich stałym tytułem — „Lewym okiem". Jak każdy autor, rozesłałem kilkanaście egzemplarzy osobom zaprzyjaźnionym oraz takim, które publikacjami tego typu interesują się zawodowo. Dopiero po wielu miesiącach okazało się, że trzy z piętnastu przesyłek, nadanych tego samego dnia w tym samym urzędzie, nie doszły. Po prostu zniknęły nie wiadomo gdzie, nadawcy ich też nie zwrócono. — Czyja tu jest „wrogość na co dzień", czyja i względem kogo? Komu przylepić Passento wy epitet?

List od córki nadany w Rawce pod Skierniewicami (odległość godziny i kwadransa jazdy koleją) otrzymałem po sześciu dniach, długo po przyjeździe nadawcy. Czyja to jest „wrogość na co dzień"

Zaprzyjaźnionej osobie we Lwowie posłałem książkę. Nie doszła. Czyja to... itd.?

Piszemy listy i wysyłamy bez pewności, czy dojdą. Nie wiemy, dlaczego brak odpowiedzi. Odpisujemy na cudze listy i nie wiemy czy dojdzie odpowiedź. Czy ktoś w świecie nie nazwie nas słowem na „ch". Nic nie wiadomo. Nie wiadomo zwłaszcza, kiedy wierzyć w to, że list nie doszedł, a kiedy w to, że odbiorca chwyta byle pretekst, żeby pozbyć się nas bez fatygi. Niewesoła sytuacja i trudno przypuścić, że nowy system bodźców także i tu zadziała uzdrawiająco. Poczto, poczto, gdy cię wspominam...

„Przekrój" na listy nie odpowiada, to by zresztą technicznie nie było możliwe, za to odnotowuje skrzętnie, przez kogo i na jaką imprezę został zaproszony. Publikacja takiej informacji jest pomyślana prawdopodobnie jako forma pokwitowania odbioru zaproszenia. A może forma podziękowania. A może forma autoreklamy. Kto chce, żeby wiadomość o urządzanej przez niego imprezie znalazła się na łamach „Przekroju", żeby o niej dowiedział się świat, winien zaprosić Redakcję. To najlepsza droga i skuteczna, nawet jeśli z publikacji nie będzie wiadomo o imprezie nic poza tym, że zaproszono na nią „Przekrój".

Jeśli „Przekrój" może rejestrować swoje satysfakcje, to może i Ćwiek też może, oczywiście toutes les proportions gardees? Mianowicie wtedy, gdy dostrzega, że nie jest odosobniony w niektórych swoich poglądach, ba — pomysłach. Pisałem już w felietonie trzechsetnym o sporadycznej a uderzającej wspólnocie idei z felietonistą „Życia Warszawy".

A oto następny przypadek: w numerze 26 „Odgłosów" z dnia 28 czerwca pisałem w oparciu o lekturę „Wiadomości Literackich" z roku 1938 o „kapsułce czasu", zakopanej w tymże roku 1938 i przeznaczonej dla ludzi z roku 7938 („Caruso za sześć tysięcy lat"). W „Polityce" z dnia 18. lipca br. Maciej Iłowiecki poświęca tej samej kapsułce czasu cały felieton pt. „Przesyłką w rok 6970". A przecież Iłowiecki nie czyta „Odgłosów", bo po co? Przecież gdyby czytał, to by o tym wspomniał?...

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17 Zam. 1596. H-4.